



India Grey



Koncert w Paryżu

PROLOG

- Obawiam się, że nie mam dobrych wieści.

Orlando Winterton nawet nie mrugnął.

Na jego szczupłej, smagłej twarzy nie malowały się żadne emocje, kiedy okulista patrzył w kartę pacjenta na mahoniowym biurku.

- Badanie wykazało, że masz poważnie zaburzone pole widzenia.

Medycznie rzecz ujmując...

- Daruj sobie, Andrew - przerwał mu Orlando szorstkim głosem. -

Powiedz tylko, co się da z tym zrobić.

Zapadła cisza. Orlando zacisnął pięści i usiłował rozszyfrować minę Andrew Parkesa. Jednak owo zaburzone widzenie, które go sprowadziło do tego gabinetu, skutecznie uniemożliwiało taką diagnozę.

- No cóż... Jeśli mam być szczery, to obawiam się, że niewiele.

Orlando milczał, ale lekko odchylił głowę, jakby dostał w twarz. W głosie lekarza usłyszał litość, której tak się obawiał.

- Naprawdę bardzo mi przykro, Orlando.

- Niepotrzebnie - odparł natychmiast. - Po prostu powiedz mi, co dalej.

Nadal będę mógł latać?

Andrew Parkes westchnął ciężko. Zawsze miał problemy z informowaniem pacjentów o złej diagnozie, jednak w tym konkretnym wypadku okazało się to jeszcze trudniejsze niż zazwyczaj.

Andrew przez całe dorosłe życie przyjaźnił się ze zmarłym przed czterema laty lordem Ashbrooke'em, ojcem Orlanda. Wszyscy mężczyźni członkowie rodziny, w tym obaj synowie arystokraty, w ramach rodzinnej tradycji wstępowali do RAF-u, inny zawód nie wchodził w rachubę. Lekarz

wiedział również o zacieklej rywalizacji między Orlandem i jego młodszym bratem Felixem - obaj byli wyjątkowymi pilotami i piastowali wysokie stanowiska w Królewskich Siłach Powietrznych. Niestety, w tej właśnie chwili fatalna diagnoza Andrew przerwała błyskotliwą karierę jednego z nich.

Nie miał wyjścia, musiał być absolutnie szczery z Orlandem.

- Nie, nie będziesz - powiedział. - Nie mam wyjścia, muszę wypisać ci natychmiastowe zwolnienie. Bardziej szczegółowa diagnoza zajmie nam trochę czasu, ale chwilowo wszystkie objawy zdają się wskazywać na chorobę Stargardta.

Orlando nawet nie drgnął.

- Przecież nadal dobrze widzę i mogę latać - odezwał się po chwili. - Rozumiem, że to pozostanie między nami?

Andrew pokręcił głową.

- Niestety nie. Tu chodzi o RAF, sam wiesz. Oczywiście, od ciebie zależy, kogo z bliskich powiadomisz. Chwilowo możesz prowadzić całkiem normalne życie, więc nikt nie musi się dowiedzieć o chorobie, dopóki sam nie zaczniesz o niej mówić.

- Rozumiem. - W gorzkim śmiechu Orlanda pobrzmiewała źle maskowana rozpacz. - Moje życie jest „chwilowo” normalne, tak? Chcesz powiedzieć, że to się zmieni?

- Obawiam się, że choroba będzie postępowała. - Tego również nie mógł ukrywać.

Orlando nagle wstał.

- Wobec tego dziękuję, Andrew.

- Poczekaj, na pewno masz jakieś pytania... - wykrztusił zaskoczony lekarz. - Chcesz coś wiedzieć...?

- Nie. Powiedziałeś mi wszystko, co powinienem usłyszeć.

- Kiedy będziesz gotów, chętnie zaopatrzę cię w odpowiednią literaturę - oznajmił Andrew z wymuszonym optymizmem. - Pomogłoby też, gdybyś z kimś o tym porozmawiał. Dalej spotykasz się z tą blond ślicznotką? No, jak jej tam, z tą wziętą prawniczką?

Orlando wyraźnie się zawahał.

- Tak - odparł po chwili. - Owszem, nadal się... spotykamy.

- To dobrze. - Andrew uśmiechnął się z ulgą.

- Naprawdę dobrze. A Felix? Jest teraz w domu, prawda?

- Tak. Obaj postanowiliśmy przez pewien czas odpocząć w Easton Hall i w przyszłym tygodniu powrócić do jednostki. - W uśmiechu Orlanda nie było wesołości. - Wygląda na to, że Felix będzie musiał wrócić sam.

Po wyjściu na ulicę Orlando zamrugął. Był pochmurny styczniowy dzień, ale słabe światło słońca przebijające się przez ciemne chmury na niebie raziło go. Nie zawahał się jednak i pewnym krokiem zszedł po schodach, nie trzymając się poręczy.

Pomyślał, że da sobie radę bez żadnej pomocy. Bez nikogo.

Popatrzył na budynek przed sobą, na którym wisiała wielka reklama jakiejś nowej płyty z muzyką klasyczną. Na zdjęciu widniała rudowłosa młoda kobieta w zielonej sukni. Orlando tysiące razy widział tę reklamę, ale dopiero teraz uświadomił sobie, że dotąd nigdy się jej nie przyjrzał. Z uwagą popatrzył na dziewczynę, na jej ogromne bursztynowe oczy, w których czał się smutek. W tym samym momencie z przerażającą jasnością uświadomił sobie, jak wiele wkrótce straci, i poczuł, że ciemność odbierze mu nie tylko wzrok, ale i otoczy jego serce.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rok później

Świtało, kiedy Rachel wymknęła się za drzwi budynku starego probostwa i odetchnęła wilgotnym, lutowym powietrzem.

W domu już wrzało. Sprawne ręce sprzątaczek i pracowników firmy cateringowej usuwały ślady wczorajszego przyjęcia i przygotowywały wnętrza do dzisiejszej ceremonii. Idąc po trawie, Rachel czuła mrowienie na karku. Bała się, że jest obserwowana, więc szybko skręciła w stronę wysokiego żywopłotu, który oddzielał stary dom od przykościelnego cmentarza. Właściwie nie wiedziała, po co tam idzie - pragnęła jedynie uciec z domu i znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłaby spokojnie pomyśleć.

I oddychać. I stanąć z boku, by przyjrzeć się rozwojowi wydarzeń prowadzącemu do dzisiejszej kumulacji, o której nawet nie była w stanie myśleć.

W ręce ścisnęła na wpół opróżnioną butelkę szampana, którą zgarnęła ze stolika w holu tuż przed wyjściem. Wczorajsze przedślubne przyjęcie, dla garstki najbardziej wpływowych przyjaciół Carlosa z branży muzycznej, przeciągnęło się do późna. Rachel jednak poszła spać przed północą. Bez wątplenia Carlos był wściekły, że nie została, by „robić wrażenie” i porozmawiać z odpowiednimi ludźmi. Wykręciła się zmęczeniem i bólem głowy, ale i tak nie mogła zasnąć aż do trzeciej, kiedy to ostatnie auta z rykiem silnika odjechały sprzed budynku probostwa. Carlos udał się do wiejskiego hotelu, gdzie miał spędzić ostatnią noc swojego długiego życia w stanie kawalerskim.

Schyliła się i przez wycięte w żywopłocie przejście przemknęła na cmentarz. Nad ziemią unosiła się niska mgła, przez co cmentarz wydawał się dziwnie, wręcz nierzeczywiście melancholijny, co bardzo pasowało do nastroju Rachel. Przytuliła do siebie butelkę i powoli okrążyła kościół, żeby znaleźć się na terenie niewidocznym z okien domu. W porannym świetle wszystko wydawało się szare, czarne lub srebrzyste. Lodowaty wiatr zdmuchnął włosy Rachel na jej twarz i nagle przeszył ją dreszcz. Tuż przed sobą, w cieniu wielkiego cisu, ujrzała najokazalszy grób ze wszystkich na przykościelnym cmentarzu - z imponującym kamiennym aniołem. Odruchowo zrobiła krok w jego kierunku i przystanęła. Cis osłaniał ją od wiatru, a kamienny anioł patrzył na nią pustymi oczami. Czy tylko jej się wydawało, czy naprawdę dostrzegła w nich współczucie?

Rachel usiadła na skrawku suchej ziemi u stóp anioła i pociągnęła solidny łyk szampana z butelki, po czym oparła policzek o kamień. Po obu stronach grobu wyryte były rozmaite nazwiska, niektóre tak dawno temu, że już niemal całkiem się zatarły. To najbliżej niej było chyba nowe, bo bardzo wyraźne. Rachel powiodła palcem po wklęsłych literach.

Felix Alexander Winterton Easton Hall

Zabity podczas służby dla kraju

Oddał swoje dzisiaj za nasze jutro

Rachel ponownie popatrzyła na anioła i uśmiechnęła się niewesoło.

- Zdrówko, Felix - szepnęła. - Ale niepotrzebnie troszczyłeś się o moje jutro. Szkoda twojego życia.

Orlando wysiadł z auta i zatrzasnął drzwi. Nie zwrócił uwagi na przejmujący chłód, gdyż ostatnio zdawał się towarzyszyć mu wszędzie. Chłód i coraz głębsza ciemność.

Podczas ostatniej wizyty u Andrew Parkesa okazało się, że wzrok Orlando pogarsza się znacznie szybciej, niż wskazywały na to rokowania. Andrew nalegał, żeby Orlando jak najszybciej zrezygnował z prowadzenia auta.

Zamierzał to zrobić. Dziś, w rocznicę śmierci Felixa, zasiadł za kierownicą po raz ostatni. Celowo przyjechał na grób z samego rana, żeby uniknąć korków, poruszał się prywatnymi drogami na terenie posiadłości.

Jego choroba polegała na tym, że widzenie peryferyjnie było w zasadzie zupełnie nieuszkodzone, natomiast gdy patrzył wprost, miał wrażenie, że spogląda przez obiektyw, który zasłoniły ciemne palce. Na razie wciąż jeszcze był w stanie poruszać się i funkcjonować całkiem samodzielnie, ale umykały mu detale. Już nie potrafił rozszyfrowywać emocji na twarzach ludzi, rozpoznawać ich na ulicy ani też wykonywać tysięcy drobnych czynności, nad którymi kiedyś w ogóle się nie zastanawiał, takich jak zapinanie guzików, zaparzenie kawy albo czytanie e-maili.

Orlando wolałby jednak umrzeć, niż powiedzieć komukolwiek o swojej chorobie. Dlatego właśnie przeniósł się do Easton Hall, by wieść tam całkiem samotne życie.

Nagle, kątem oka, dostrzegł coś pomarańczowego obok grobu Felixa. Przechylił głowę i stał nieruchomo, usiłując domyślić się, co to takiego. Lis powracający z polowania?

Nagle plama się poruszyła i już wiedział, z czym ma do czynienia, albo raczej z kim.

To była dziewczyna. Jakaś rudowłosa dziewczyna siedziała na grobie jego brata.

- Co pani wyprawia, do diabła?

Rachel gwałtownie podniosła głowę. Przed nią stał wysoki mężczyzna o potarganych ciemnych włosach, w długim czarnym płaszczu.

- Ja... Nic! Ja tylko...

Próbowała się podnieść, ale nogi jej całkiem ścierpły i zachwiała się. Ręce nieznajomego błyskawicznie zacisnęły się na jej ramionach i pociągnął ją w górę. Gdy odzyskała równowagę, wyjął jej z ręki butelkę szampana i zakołysał jej zawartością.

- To wszystko wyjaśnia. - Z niesmakiem wykrzywił usta. - Nie za wcześnie? Czy też może ma pani wyjątkowe powody do świętowania od samego rana?

- Nie. - Rachel parsknęła dziwnym śmiechem i natychmiast zasłoniła usta dłonią, jakby z obawy, że lada moment wybuchnie płaczem. - Nie mam absolutnie żadnych powodów do świętowania, a piłam, żeby wreszcie zdobyć się na odwagę. Albo zapomnieć. - Ze wstydem zdała sobie sprawę, że po jej policzkach płyną łzy, i uśmiechnęła się ze skrucą. - Tak, właśnie, zapomnieć. W towarzystwie tego uroczego bohatera, Felixa.

Mężczyzna nie odpowiedział jej uśmiechem. Puścił ją tak gwałtownie, że się zatoczyła i musiała oprzeć o nagrobek.

- Byłby zachwycony, wiedząc, że taki drobiazg jak śmierć w żaden sposób nie wpłynął na jego powodzenie u kobiet - wycedził.

Te gorzkie słowa sprawiły, że Rachel uważniej przyjrzała się nieznajomemu i nagle, z przerażeniem uświadomiła sobie, że na pewno ma do czynienia z kimś, komu zmarły nie był obcy.

- O Boże, przepraszam... - wyszeptała. - Znał go pan?

Po chwili milczenia mężczyzna wyciągnął ku niej rękę.

- Orlando Winterton. Brat Felixa.

Uścisnęła jego dłoń. Natychmiast ją cofnął i założył ręce za plecami.

- Jestem Rachel - przedstawiła się. - Bardzo mi przykro z powodu pańskiego brata. Był żołnierzem?

- Pilotem w RAF-ie. Zginął na Bliskim Wschodzie.

- To straszne. - Przygryzła wargę.

- Zdarza się. - Orlando wzruszył ramionami. - Taka praca.

- Pan też jest pilotem?

- Byłem - odparł zgodnie z prawdą.

- To wymaga niesamowitej odwagi. Każdego dnia zagładać śmierci w oczy...

Orlando zaśmiał się.

- Myślę, że są gorsze rzeczy na świecie niż śmierć - wycedził. - Nie uważa pani?

Rachel z westchnieniem ponownie osunęła się na ziemię.

- Coś o tym wiem. A poza tym mówmy sobie po imieniu - zaproponowała nieoczekiwanie.

Oparła się o kamień i podniosła szampana, którego Orlando wcześniej postawił na ziemi, po czym pociągnęła spory łyk. Podała mu butelkę, którą wziął po chwili wahania, ale zamiast się poczęstować, ponownie ją odstawił.

- No cóż, Rachel, może mi powiesz, co sprawiło, że tak nisko upadłaś i upijasz się na naszym rodzinnym grobie?

- Nie chcesz wiedzieć - mruknęła.

Miała rację, nie chciał. Nic go nie obchodziła ani ona, ani jej problemy. Skupianie się na swoim cierpieniu wypełniało mu praktycznie cały wolny czas. Dlatego zupełnie nie wiedział, dlaczego z jego ust padły te słowa:

- Zwykle sam decyduję o tym, czego chcę.

Rachel zerknęła na niego. Patrzył przed siebie, a w jego surowej, poważnej twarzy było coś, co sprawiło, że nagle zapragnęła mu się zwierzyć.

- Wychodzę za mąż - oznajmiła z rozpaczą w głosie. - Dzisiaj.
Orlando na moment uniósł brew, ale natychmiast powrócił do
zwyczajowej obojętności.

- I tyle? Moje gratulacje.

- Nie, nie ma czego gratulować. To... - Umilkła i opuściła głowę.

Orlando Winterton nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

Wzruszył ramionami.

- Śluby zwykle nie przychodzą bez ostrzeżenia, jak trzęsienie ziemi, nie
zdarzają się też przypadkowo. Rozumiem, że miałaś coś do powiedzenia w tej
sprawie? - Nie czekając na jej odpowiedź, postawił kołnierz płaszcza, wyraźnie
zbierając się do odejścia.

- Nie miałam - odparła głucho.

W jej głosie Orlando usłyszał coś, co sprawiło, że znieruchomiał. Rachel
zauważyła, że patrzył na nią uważnie, z lekko przechyloną głową.

- Zostałaś zmuszona do małżeństwa? - zapytał po chwili.

Rachel westchnęła ciężko.

- No cóż, nikt nie przystawił mi pistoletu do głowy. To nie była kwestia
życia i śmierci - powiedziała szczerze. - Ale owszem, można powiedzieć, że
zostałam zmuszona.

Orlando ze znużeniem przetarł oczy. Powoli zaczynał mieć serdecznie
dosyć tej rozmowy.

- W jaki sposób?

- Nie mam wyjścia. Żadnego planu awaryjnego, żadnego wyboru. Ten
ślub to kulminacja życiowej pracy mojej matki, spełnienie jej ambicji i marzeń.

- Zaśmiała się gorzko. - Jeśli nie wyjdę za mąż, pewnie osobiście mnie zabije.

Gdy wypowiedziała te słowa, przyszło jej do głowy, że chyba wołałaby
to niż życie z Carlosem.

- Nie możesz wychodzić za mąż tylko po to, żeby zadowolić matkę - odezwał się Orlando.

W jego głosie brzmiała taka pogarda, że Rachel poczuła się tak, jakby ją spoliczkował.

- Nie znasz mojej matki. To...

Zawahała się i pokręciła głową, usiłując znaleźć odpowiednie słowa na opisanie obsesji Elizabeth Champion na punkcie kariery muzycznej córki. Przy Elizabeth sam Machiavelli zzieleniałby ze wstydu i uciekł gdzie pieprz rośnie. Ślub Rachel z Carlosem Vincente, jednym z najszynniejszych dyrygentów świata, miał triumfalnie zwieńczyć jej wieloletnie knowania.

- No kim jest? Bezwzględna morderczynią? - zakpił. - Psychopatką? Płatną zabójczynią?

O dziwo, jego szyderstwo bardzo zabolalo Rachel.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła z rozpaczą.

Tak bardzo chciała, żeby zrozumiał, dlaczego tak się wszystko ułożyło, komu musiałaby się przeciwstawić, gdyby nie posłuchała, ale zupełnie nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

- A zresztą wszystko jedno. Zapomnij, że cokolwiek mówiłam. Nie umiem cię przekonać, nawet nie ma sensu próbować. Idź sobie i daj mi spokój!

- Żebyś upiła się do nieprzytomności na grobie Felixa? Skoro tego pragniesz...

Orlando się odwrócił i nagle Rachel wpadła w irracjonalną panikę. Chwyciła za kamienne fałdy szaty anioła, żeby przypadkiem nie wyciągnąć ręki za odchodzącym Orlandem. Byłoby to idiotyczne i zenujące, naturalnie, przecież w ogóle nie znała tego człowieka. Jednak nie mogła przestać myśleć, że to właśnie on, on jeden, byłby w stanie jej pomóc. Uratować ją.

- Wcale tego nie chcę, ale nie mam wyboru! - wykrzyknęła nieoczekiwanie.

Orlando zatrzymał się i odwrócił. Rachel miała wrażenie, że jego wzrok przewierca ją na wskroś, zagląda prosto do jej duszy.

- Jasne, że masz wybór. Jesteś młoda. Żyjesz. - Wskazał dłonią grób swojego brata. - Wierz mi, że masz wybór. To, czego ci brakuje, Rachel, to odwaga.

Z otwartymi ustami patrzyła, jak minął furtkę prowadzącą na drogę, a po chwili usłyszała ryk silnika. W ciszy, która zapadła, Rachel uświadomiła sobie, że wciąż trzyma się kurczowo kamiennych fałd posągu. Zamknęła oczy, przypominając sobie dotyk rąk Orlanda na swoich ramionach. Wtedy, przez ten jeden krótki moment, czuła się bezpieczna, jakby wreszcie dotarła do domu.

- Rachel!

Otworzyła szeroko oczy, rozpoznając głos matki, i bez zastanowienia skoczyła za pień cisu. Zamarła, a jej serce waliło jak młotem.

- Rachel!

Głos był teraz znacznie bliżej i Rachel doskonale słyszała w nim rozdrażnienie. Mam dwadzieścia trzy lata, a chowam się przed matką jak dziecko, które narozrabiało i boi się kary, pomyślała.

Mocno zacisnęła powieki i nagle oczami duszy zobaczyła surową twarz Orlanda Wintertona.

To czego ci brakuje, to odwaga.

Zawahała się i powoli podniosła, po czym wyszła zza pnia.

Ubrana w obcisły dres z różowego aksamitu i czółenka na obcasach Elizabeth Champion równym krokiem przemierzała przykościelny teren, z taką miną, jakby chciała zamordować córkę.

- Tu jestem! - zawołała Rachel.

Przez jedną cudowną chwilę wyglądało na to, że Elizabeth zapomniała języka w gębie, kiedy patrzyła, jak jej córka wyłania się z cienia wielkiego anioła. Szybko jednak doszła do siebie.

- Co ty wyprawiasz, na Boga?! - wrzasnęła.

Rachel pomyślała, że Orlando powitał ją niemal identycznie, z tą różnicą, że zamiast wzywać Boga, zwrócił się do diabła.

- Czekam na odpowiedź!

Z olbrzymim wysiłkiem Rachel powlokła się ku matce.

- Wyszłam na spacer - wyjaśniła.

- Wyszłaś na spacer? - zaskrzeczała Elizabeth. - Rany boskie! Dlaczego jesteś taką egoistką, Rachel? Naprawdę musiałaś spacerować dzisiaj? Myślisz, że nie mam co robić, tylko biegać za tobą, bo jesteś zbyt samolubna i niedojrzała, żeby wziąć się w garść? Co?

Rachel otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale matka nie dopuściła jej do głosu.

- Dzwonił Carlos. Musiałam mu powiedzieć, że jesteś w łazience. Bóg jeden wie, jakby zareagował, gdyby się dowiedział, że poszłaś na spacer! - W jej ustach brzmiało to tak, jakby Rachel jeździła nago na wrotkach wokół kościoła. Tuż po mszy.

- Myślałam, że rozmowa z panną młodą tuż przed ślubem przynosi pecha? - mruknęła Rachel sarkastycznie. - Tak bardzo nie chciałabym w żaden sposób zakłócić naszej małżeńskiej sielanki.

Elizabeth popatrzyła na nią wilkiem.

- Nie zaczynaj od początku, moja panno - warknęła. - Pamiętaj, jaka z ciebie szczęściara, że wychodzisz za Carlosa.

- Bzdura! - Rachel popatrzyła matce prosto w twarz. - Carlos ma mnie gdzieś, chodzi tylko o prestiż! Nie kocha mnie i...

- Zamknij się! Zamknij się wreszcie! - Twarz Elizabeth wykrzywiona była wściekłością. - Myślisz, że jesteś taka mądra, co? No to pozwól, że coś ci wytłumaczę, Rachel. Miłość to bzdurna fantazja, nic nie znaczy, nic! Twój ojciec bez przerwy powtarzał, że mnie kocha, i co mi z tego? Omal nie umarłam przy porodzie dziecka, które opuścił, zanim zdążyło dorosnąć. Widać zapomniał o swoim wielkim uczuciu i do mnie, i do ciebie. Miłość nie zagwarantuje poczucia bezpieczeństwa.

Rachel zakręciło się w głowie. Przypomniała sobie tamtą straszną noc w Wiedniu, palce Carlosa wpijające się mocno w jej uda...

Musiała natychmiast odseparować się od osoby, która to wszystko znosiła. Od Rachel Champion, zdyscyplinowanej pianistki i posłusznej córki.

To nie była prawdziwa Rachel. Najgorsze, że miała coraz większe trudności z zapamiętaniem, kim jest prawdziwa Rachel.

Tu, na cmentarzu, na moment to sobie przypomniała. Była kimś, kto pragnął być odważny. I bezpieczny.

Bez słowa wróciła do domu i cicho zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Będzie pan dziś jeszcze potrzebował auta, sir?

- Nie. - Ani dzisiaj, ani żadnego innego dnia, pomyślał.

Orlando nie zauważył człowieka, który wyszedł z jednego z budynków gospodarczych, ale rozpoznał jego głos. George pracował dla lorda Ashbrooke'a od czasów dzieciństwa Orlanda i Felixa.

- Odstawić samochód?

- Tak, dziękuję. - Orlando wyciągnął kluczyki ze stacyjki.

Przez chwilę mocno je ścisnął, po czym rzucił nimi w kierunku George'a i ruszył ku domowi.

- No właśnie. Tego nam było trzeba. Wyglądasz przepięknie, skarbie. - Dłonie Elizabeth Champion fruwały wokół twarzy Rachel niczym małe ptaszki, tu poprawiły zbłąkany lok, tam rozprostowały koronkę.

Kościelne dzwony zdawały się bić znacznie głośniej niż zwykle, zbyt głośno, ale dzięki temu Rachel nie musiała silić się na rozmowę z matką.

Cieszyła się, że ma na twarzy welon, gdyż oddzielał ją od reszty świata, przede wszystkim od matki.

- No dobrze, chodźmy do kościoła - zaćwierkała Elizabeth radośnie, zerkając na zegarek, i po raz ostatni poprawiła wybraną przez Carlosa suknię ślubną Rachel, kreację w stylu empire. Carlos twierdził, że Amerykanie będą oczarowani, gdy Rachel zasiądzie w niej do fortepianu. Elizabeth wręczyła córce bukiet pięknych herbacianych róż. - Nie zapomnij o kwiatkach. Na litość boską, może raczysz się uśmiechnąć? Kochanie, to twój wielki dzień, proszę, nie zachowuj się tak...

Rachel niemal niedostrzeżenie skinęła głową.

Elizabeth podbiegła do toaletki, po raz nie wiadomo który spryskała się perfumami, wsunęła dłonie w czarne rękawiczki i w końcu ruszyła do drzwi. Tam pochyliła głowę i znieruchomiła.

Nagle Rachel zamarła w oczekiwaniu na znak matki, na słowo, na zapewnienie, że to wszystko można jeszcze odwołać.

Elizabeth odwróciła się do córki, patrząc na nią z zadumą.

- Co za wstyd, że twojemu ojcu nie starczyło przyzwoitości, żeby się dziś zjawić - oznajmiła. - Ten jeden jedyny raz mógł się na coś przydać. No nic, trudno, ten typ tak ma. Myślę, że pastor zjawi się za jakieś dziesięć minut.

Po tych słowach zniknęła. Rachel poczuła, że się dusi. Wzbierały w niej furia i rozpacz, i zanim zdążyła się zastanowić, co robi, z wściekłością zdarła z siebie welon i cisnęła go na podłogę.

Musiała stąd uciec.

Rozejrzała się wokół i nagle jej wzrok padł na kluczyki od luksusowego samochodu, który dostała od Carlosa w prezencie zaręczynowym. Złapała je drżącą ręką i zbiegła po schodach, przerażona tym, że jej obcasy stukają donośnie na wycyklinowanym drewnie. Oddychając ciężko, otworzyła drzwi frontowe i rozejrzała się ostrożnie, a kiedy nikogo nie dostrzegła, rzuciła się wprost do auta.

Jej ręce trzęsły się do tego stopnia, że ledwie zdołała włożyć kluczyk do stacyjki. Przekreśliła go i wzdrygnęła się, słysząc głośny ryk silnika. Nie odważyła się odwrócić i spojrzeć na dom, kiedy zjeżdżała z podjazdu na drogę. Pochlipując, zerknęła w lusterko, jakby w obawie, że ujrzy Carlosa wybiegającego z budynku probostwa.

Wejście do kościoła znajdowało się z drugiej strony, ale Rachel i tak nie odważyła się jechać główną drogą, więc bez zastanowienia skręciła w dróżkę

za kościołem, tam, gdzie dzisiejszego ranka zniknęło auto Orlanda Wintertona. Dróżka, bardzo kręta i wąska, obramowana była wysokim żywopłotem i Rachel czuła się tak, jakby jechała tunelem. Po pewnym czasie przestała mieć jakiegokolwiek pojęcie, dokąd zmierza, właściwie nie wiedziała nawet, gdzie jest.

Nagle poczuła, jak narasta w niej panika. Czy ktoś już zauważył jej zniknięcie? Może jeszcze nie było za późno na powrót? Wystarczyłoby przecież tylko zawrócić tą przeklętą dróżką, niespostrzeżenie wśliznąć się do domu, włożyć welon i spędzić resztę życia tak, jak to zostało zaplanowane. Carlos i jej matka mieli rację - nie dałaby sobie rady sama. Nawet nie potrafiła uciec.

Zaczęło padać, droga była wyboista i pełna dziur. Rachel nigdzie nie mogła znaleźć miejsca, w którym zdołałaby zawrócić. Nie słyszała już bicia kościelnych dzwonów i poczuła, że włosy jeżą się jej na karku. Wszystko dookoła wydawało się groźne i nieznane. Wciąż zerknęła w lusterko wsteczne, podświadomie oczekując widoku świateł auta Carlosa - na pewno już się zorientował, że zniknęła.

Dróżka zwęziła się jeszcze bardziej i przed maską auta wyrósł wąski mostek obramowany wysokim kamiennym murkiem. Samochodem zarzuciło i Rachel usłyszała przerażający zgrzyt metalu uginającego się pod naporem kamienia. Przycisnęła pedał gazu i z piskiem opon zjechała z mostka, nawet nie sprawdzając zniszczeń. Była coraz bardziej przerażona, ale mogła tylko trzymać ręce na kierownicy i jechać przed siebie.

To, czego ci brakuje, to odwaga, znowu usłyszała w głowie głos Orlanda. W tym samym momencie zobaczyła przed sobą zarys wielkiego budynku na tle pochmurnego nieba. Szlochając z ulgi, zmierzała w tamtym kierunku, a gdy

dotarła do zwirowego podjazdu, zaczęła się modlić, żeby ktoś był w domu. Ktoś, kto okazałby jej miłosierdzie i ukrył ją przed Carlosem.

Wyciągnęła kluczyki ze stacyjki i czekała, aż jej galopujące serce powróci do normalnego rytmu. Kiedy już miała wysiąść i zapukać, nagle wielkie frontowe drzwi domu się otworzyły i pojawiła się w nich męska sylwetka. Rachel pośpiesznie otworzyła drzwi auta i wysiadła, ale musiała się oprzeć o samochód, gdyż nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa. Czuła olbrzymią ulgę, która po chwili zamieniła się w zdumienie.

W drzwiach wielkiego domu stał Orlando Winterton.

Słyszając odgłos opon na żwirze, Orlando otworzył drzwi i zmrużył oczy. Po chwili ujrzał bardzo kosztowny i bardzo zniszczony sportowy samochód.

No proszę, Arabella.

Zadzwoiła wczoraj i oznajmiła tym swoim chłodnym, wystudiowanym głosem, że koniecznie chce się z nim widzieć. Orlando nie miał pojęcia po co. Czyżby wyrosło jej sumienie? - pomyślał z ironią.

Wyjaśnił dobitnie, co mogła zrobić ze swoją propozycją, i odłożył słuchawkę. Nie mieli po co się spotykać. W życiu Arabelli nie było miejsca na słabość, jednak lubiła mieć ostatnie słowo.

Zastanawiał się, po co przyjechała. Kpić z niego czy go uwieść? W jednym i drugim wypadku poniosłaby sromotną klęskę. Kiedy jednak drzwi auta się otworzyły i wyłoniła się z niego smukła kobieca sylwetka, Orlando odchylił głowę, aby przyjrzeć się nowo przybyłej.

To nie była Arabella.

Kobieta opierała się o auto i nawet w lutowym półmroku mógł zauważyć, że silnie drży. Ubrana była w cienką białą suknię, a jej rude włosy zdawały się rozjaśniać mrok.

Ciemnorude włosy.

Dziewczyna z cmentarza.

Powoli zszedł ku niej ze schodów.

Rachel patrzyła na niego w milczeniu, nagle kompletnie otepiała.

Dopiero odległy dźwięk kościelnych dzwonów przywrócił ją do rzeczywistości.

- Przepraszam - wychrypiała z trudem. - Nie chciałam tu przyjeżdżać, nie wiedziałam... Ta droga... nie wiedziałam, dokąd prowadzi... Tylko jechałam...

Orlando patrzył na nią w milczeniu, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Rozumiem, że odjechałaś przed ślubem? Uciekłaś?

- Tak... Nie mogłam. - Mówiła bardzo ostrożnie, oddychając głęboko, żeby się uspokoić. - Czekałam do ostatniej chwili na coś, co mogłoby uniemożliwić ślub, ale nic się nie wydarzyło, i wtedy... Wtedy zrozumiałam, że nie mogę. Uciekłam. Miałaś rację, ja....

Jeszcze raz odetchnęła głęboko i w tym samym momencie dzwony nagle ucichły.

Rachel zakryła usta dłońmi i z przerażeniem otworzyła szeroko oczy.

- Już wiedzą. Odkryli, że mnie nie ma. A Carlos... Carlos będzie...

Z rozpaczą wsunęła palce we włosy i ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi, szeroko otworzyła drzwi auta. W tej samej chwili Orlando chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie. Próbowwała się wyrwać, ale była bez szans.

- Puszczaj! Muszę jechać, bo zjawią się po mnie i...

- Nie! - Jego głos był ostry jak brzytwa. Obrócił ją ku sobie i położył ręce na jej ramionach, tak jak rankiem na cmentarzu. - W tym stanie nigdzie nie pojedziesz. Zostaniesz tutaj.

Poczuł, że przestała się szamotać. Uniosła głowę tak, że teraz widział fragment jej bladego policzka.

- Nie mogłabym zostać - powiedziała głucho. - To zbyt wiele... Nie mogę...

Puścił ją i ominął, po czym zamknął drzwi auta.

- A masz dokąd iść?

- Nie.

- No cóż, to może darujemy sobie tę część, w której dla przyzwoitości protestujesz? - zapytał ironicznie. - Myślę, że tym razem naprawdę nie masz wyjścia, a mnie nie brakuje miejsca.

Rachel uniosła głowę i popatrzyła na wielki budynek z czerwonej cegły. Orlando ruszył do wejścia, a gdy ona nawet nie drgnęła, obejrzał się przez ramię.

- Na co czekasz? - burknął niecierpliwie.

- Nie mogę zostawić tu samochodu... Ktoś mógłby go zobaczyć... I moje rzeczy... - Zdawała sobie sprawę z tego, że zachowuje się jak rozhisteryzowane dziecko, ale była zbyt roztrzęsiona, żeby się tym przejmować.

Orlando zawrócił i podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

- Daj kluczyki, każę komuś przestawić auto.

Podala mu je i patrzyła w milczeniu, jak wyjmował z bagażnika wielką designerską walizę.

- Nieźle się przygotowałaś do ucieczki - zauważył cierpko.

- Nie... Niczego nie planowałam. Walizka została spakowana wczoraj na dziś... - Jej głos odpłynął.

- No jasne, na noc poślubną - domyślił się.

Pomyślał, że zapewne kryją się tam kosztowne jedwabie i koronki. No cóż, tutaj z pewnością nie będą jej potrzebne. Pokoju, w którym zamierzał ją umieścić, nie używano od przeszło roku, i można w nim było zamarznąć.

Znajdował się także bardzo daleko od jego pokoju.

Wchodząc do budynku, Rachel zadrżała. Czuła się jak Piękna wkraczająca do zamku Bestii. Gdy minęła próg, odruchowo popatrzyła do wielkiego lustra w holu i zaśmiała się pod nosem.

Piękna?

Z potarganymi włosami i rozmazanym makijażem wyglądała okropnie. Biała suknia ślubna upodobniała ją do wariatki z gotyckiego horroru, krążącej po starym zamczysku.

- Tędy. - Orlando wyciągnął rękę.

Imponujący hol wychodził na drugi, nieco mniejszy, ze schodami na piętro. Orlando ruszył po nich, muskając palcami ścianę. Na górze skręcił w ciemny korytarz po prawej stronie, a Rachel posłusznie poszła za nim. Korytarz zdawał się nie mieć końca, jednak w pewnej chwili Orlando przystanął.

- Tutaj - powiedział i otworzył drzwi.

Rachel weszła za nim do wielkiego pomieszczenia z marmurowym kominkiem. Prócz niego w pokoju znajdowało się jeszcze olbrzymie łóżko z baldachimem oraz komoda.

- Lepiej zdejmij tę suknię - powiedział.

Rachel zmarszczyła brwi i spojrzała na niego uważnie, ale nadal miał kamienny wyraz twarzy. Jej puls przyśpieszył. Chyba nie zamierzał...? Czyżby jej matka miała rację? Czyżby wszyscy mężczyźni byli tacy jak Carlos?

Przywarła do słupka łóżka. Teraz naprawdę była wystraszona.

- Będę na dole - oznajmił i ruszył do drzwi.

Rachel zamrugnęła gwałtownie.

- Nie, Orlando! - wyrwało się jej. - Poczekaj!

Stanął nieruchomo, a ona patrzyła na niego bezradnie. Czuła, że ma całkiem wyschnięte usta.

- Potrzebuję pomocy... Przy zdejmowaniu sukni - wyjaśniła cicho.

Widziała, że się zawahał, po czym przyłożył dłoń do czoła. Po chwili ruszył ku niej. Drżąc, odwróciła się do niego plecami i pochyliła głowę, żeby mógł bez trudu rozpiąć zamek. Oczekiwanie zdawało się przeciągać w nieskończoność, lecz w końcu długie palce Orlanda musnęły skórę na jej szyi i znalazł suwak. Pociągnął go w dół, mniej więcej do połowy pleców, po czym zrobił krok do tyłu i bez słowa opuścił pokój.

Rachel zamknęła oczy i przygryzła wargę. Myślała, że jego dotyk ją przerazi, wręcz się na to nastawiła. Przerazenie towarzyszyło jej niemal w każdej świadomej chwili. Ze wstrząsem uświadomiła sobie jednak, że kiedy palce Orlanda dotknęły jej skóry, nie czuła strachu, tylko coś zupełnie innego.

Podniecenie.



ROZDZIAŁ TRZECI

Orlando rzucił kilka papryczek na marmurowy blat, po czym zapalił halogeny w kuchni. Jaskrawe światło sprawiło, że zmrużył oczy. Powoli, ale sprawnie zaczął kroić paprykę.

Świadomie przyzwyczajał się do życia w ciemności już teraz, kiedy jeszcze trochę widział, i rzadko zapalał światło, ale kuchnia była jedynym miejscem, gdzie nie mógł obyć się bez jego pomocy. Konsekwentnie starał się być samowystarczalny i dlatego nauczył się gotować. W poprzednim życiu zupełnie go to nie interesowało, przyrządzaniem posiłków zajmowała się Arabella oraz służba. Wszystko się jednak zmieniło.

Nie musieć gotować to jedno, nie móc - całkiem co innego.

Pomyślał z goryczą, że nietrudno było zamknąć się w tym domu, odseparować od ludzi i udawać, że wszystko jest w porządku. Prawie w to uwierzył - aż do dzisiaj, do przybycia rudowłosej dziewczyny.

W chwili, gdy poprosiła go, żeby pomógł jej rozpiąć suknię, zrozumiał, że dawny Orlando Winterton jest równie martwy jak jego brat. Tamten Orlando był mistrzem w sztuce rozbierania kobiet, ten obecny wpadł w panikę, gdy dziewczyna poprosiła go o pomoc, bo od razu zaczął wyobrazać sobie haftki i maleńkie guziczki. Otworzył usta, żeby jej powiedzieć, ale nie mógł, słowa nie chciały przyjść. Zbyt dobrze pamiętał reakcję Arabelli.

- Cześć - usłyszał nagle.

Powiedziała to cicho i spokojnie, ale Orlando i tak stracił czujność i nóż się osunął. Zaklął pod nosem.

- Nie słyszałem, jak weszłaś.

- Nie chciałam przeszkadzać.

Trochę na to za późno, pomyślał i poczuł, że wzbiera w nim gniew.

Z wahaniem zrobiła kilka kroków; zobaczył, że przebrała się w dżinsy i sweter.

- Kuchnia to ostatnie miejsce, w którym bym się ciebie spodziewała - zauważyła.

- A to dlaczego?

- Myślałam, że w takim domu masz mnóstwo służby, szofera, lokaja i tak dalej. No i oczywiście kucharkę.

- Nie.

Uświadomił sobie, że mówi poirytowanym tonem i z westchnieniem przejechał ręką po włosach.

Kiedy odezwał się ponownie, jego głos brzmiał znacznie łagodniej.

- Codziennie przychodzi tu gospodyni, zatrudniam też sporo osób na terenie posiadłości, poza tym jednak nie ma więcej służby. Przeprowadziłem się tutaj w poszukiwaniu samotności.

- Wobec tego przepraszam, że ją zakłóciłam. - Jej głos był spokojny, bez śladu emocji. - Nadal nie dociera do mnie, co zrobiłam, ale teraz widzę, że i dla ciebie sytuacja jest niezręczna.

- Musisz powiadomić kogoś, że nic ci się nie stało - odparł, zmieniając temat.

- Już to zrobiłam, zatelefonowałam i zostawiłam wiadomość. - Nie czuła potrzeby wyjaśniania mu, że nagrała się na własną automatyczną sekretarkę w biurze swojego agenta, a potem cisnęła komórkę przez okno, w krzaki rosnące w ogrodzie.

- Doskonale. Ostatnie, czego mi trzeba, to rozszalały pan młody, oskarżający mnie o porwanie.

- Bez obaw - oznajmiła sztywno. - Jeśli tylko pozwolisz mi tu przenocować, z samego rana... zniknę.

Orlando mocniej zacisnął palce na nożu, czując się lekko nieswojo z powodu własnej nieuprzejmości.

- Oczywiście. Jak wspominałem, jest tu sporo pokoi. Nie zdziw się tylko, jeśli będziesz pozostawiona samej sobie, chwilowo mam mnóstwo zajęć.

- Oczywiście. Jakich zajęć? - Zainteresowała się.

- Mam prywatną konferencję na temat obronności - odparł z nutą sarkazmu w głosie. - Zarządzam także posiadłością i wszystkimi rodzinnymi firmami. Życzysz sobie mojego CV?

Rachel zarumieniła się po czubki uszu, uświadomiwszy sobie, że weszła na zakazane terytorium. I otrzymała ostrzeżenie.

- Przepraszam, zadaję zbyt wiele pytań - wymamrotała. - Moja ciekawość po prostu... Boże drogi! Orlando, ty krwawisz!

Nagle znieruchomiał i poczuł lepkość na palcach. To musiało się zdarzyć, kiedy weszła do kuchni i go zaskoczyła.

- To nic.

- Nic? Wszędzie jest krew.

Orlando zerknął w dół i bez trudu zauważył jaskrawą czerwień na marmurowej płycie. Bez słowa włożył rękę pod kran.

Rachel z wahaniem podeszła do niego.

- Pozwól mi na to zerknąć. Jest tyle krwi, że rana musi być głęboka.

- Nic mi nie jest - powiedział szorstko, ale nawet on widział, że woda w zlewie była różowa, zbyt różowa.

Zacisnął zęby, a po chwili poczuł jej palce na swoim przegubie.

Delikatnie, ale stanowczo Rachel zabrała jego dłoń spod kranu. Poczwała, że zesztyniał, i zastanawiała się, czy wyrwie rękę, nie zrobił tego jednak.

Rana na palcu wskazującym i środkowym była głęboka, krew skapywała na rękę Rachel. Zakreśliło się jej w głowie.

- Musimy zatamować krwawienie - powiedziała słabym głosem.

Popatrzyła na niego. Wydawał się taki odległy, coraz bardziej...

Orlando zaklął pod nosem. Kolana się pod nią ugięły, lecz w tej samej chwili poczuła jego ręce na swoich ramionach, popychające ją do tyłu, w kierunku krzesła. Posadził ją na nim i zmusił, żeby oparła głowę na swoich kolanach. Odwrócił się i jednym płynnym ruchem ściągnął koszulę przez głowę, po czym owinął materiałem krwawiącą rękę.

Pulsowanie w uszach ustało i Rachel z wysiłkiem podniosła głowę i natychmiast znowu się jej w niej zakreśliło. Orlando stał kilka kroków dalej, plecami do niej.

Nagie plecy.

Wstrzymując oddech, wpatrywała się w jego szerokie, umięśnione ramiona. Przypominał dzikie zwierze - dzikie i pełne gracji. Uwięzione w tym cichym domu, sterylnej kuchni.

Ranne.

Patrzyła, jak szedł do drzwi, i machinalnie podniosła się z krzesła.

- Orlando, przepraszam... czy mogę jakoś pomóc?

- Jasne. - Patrzył na nią z wyraźnym niesmakiem. - Dokończ kolację.

Rachel otworzyła drzwi olbrzymiej, nowoczesnej lodówki i znieruchomiała, głęboko wdychając zimne powietrze. Czuła się tak, jakby nagle trafiła z dotychczasowej rzeczywistości do alternatywnego wszechświata, gdzie wszystko było zupełnie inne.

Gdzie drżała pod wpływem spojrzenia - ale nie ze strachu, tylko pożądania.

Gdzie sztywniała pod wpływem dotyku - nie z obrzydzenia, tylko rozkoszy...

Co za idiotyzm, pomyślała. Przewróciła swoje życie do góry nogami, a teraz, zamiast coś z tym zrobić, bez sensu fantazjowała o mężczyźnie, który był jej niemal całkiem obcy.

I do tego ten niemal całkiem obcy mężczyzna oczekiwał, że Rachel przygotuje mu kolację.

Co on sobie wyobraża? Niby co miała zrobić? Była pianistką, na litość boską, profesjonalistką o niesłychanie cennych dłoniach, ubezpieczonych na wiele tysięcy funtów. Nie gotowała.

Odrzuciła włosy z twarzy i podeszła do kontuaru, zamierzając wyrzucić do kosza wszystko, co tam leżało, i zamówić jakieś jedzenie na wynos.

Nagle znieruchomiała. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcem czerwonej smugi na blacie, krwi Orlanda. W tym geście było coś niesłychanie intymnego.

Jego krew.

Raz jeszcze przeszył ją dreszcz.

- Wszystko w porządku?

Głos Orlanda od progu sprawił, że ze wstydem poderwała rękę i dotknęła nią gardła.

- Tak... Tak, naturalnie.

Orlando ruszył w jej kierunku. Miał na sobie spłowiałą koszulę w kratę, a palce jego lewej ręki były zabandażowane.

- Nieszczerze ci idzie - zauważył.

- Nie. - Z wysiłkiem uniosła brodę i popatrzyła mu prosto w oczy. -

Ciągle jeszcze sprzątam, a poza tym obawiam się, że nie mam pojęcia, od czego zacząć. Przez całe życie nigdy niczego nie ugotowałam i nawet nie wiem jak...

- No to chyba pora się nauczyć - przerwał jej , pogardliwie.

Rachel przełknęła ślinę. Chwyliła ścierkę i pośpiesznie wytarła krew z lady.

- Nie. Nie jestem dobra w takich... praktycznych sprawach.

Orlando zaklął pod nosem.

- Dlaczego tak twierdzisz, na litość boską? - spytał.

- Bo mam dwadzieścia trzy lata doświadczenia? - odparła ze złością. - Albo raczej dwadzieścia trzy lata braku doświadczenia? Nigdy w życiu nie wykonywałam żadnych prac domowych!

- No to właśnie masz szansę. - Podniósł nóż. - Podejź tu.

- Nie!

Orlando zamarł. Bez najmniejszych wątpliwości usłyszał w jej głosie autentyczny ból. Przez moment żadne z nich nawet nie drgnęło.

Nagle Orlando poczuł się bardzo, bardzo zmęczony.

- Czego się tak boisz? - spytał. - Chryste, Rachel, przecież nie zrobię ci krzywdy!

- Wcale tak nie myślałam - szepnęła. - Tylko...

Jak miała wyjaśnić, że nie drżała przy nim ze strachu, tylko z zupełnie innego powodu, którego sama nie mogła zrozumieć?

Orlando znowu westchnął.

- Chodź tutaj.

Z wahaniem zrobiła krok w jego kierunku. Zatrzymała się jakiś metr przed nim, więc delikatnie chwycił ją za rękę i pociągnął, a potem ustawił przed deską i podał jej nóż oraz paprykę, której wcześniej nie zdążył pokroić. Kiedy stała bezradnie z jednym i drugim, nakrył jej rękę z nożem swoją dłonią i zaczął kroić warzywo.

Rachel jęknęła.

- Nie! Nie mogę!

Upuściła nóż i zacisnęła dłonie w pięści. Orlando natychmiast cofnął się o krok i w geście całkowitego wyczerpania przejechał palcami przez włosy.

- Przepraszam - wymamrotała Rachel. - Chodzi o to, że... Moje dłonie. Muszę być ostrożna, są... bardzo cenne.

Orlando znieruchomiał.

- Cenne? - powtórzył.

Patrzyła, jak uniósł swoje ręce i przez chwilę patrzył na nie uważnie. Potem się odwrócił.

Cenne. Była niewiarygodnie płytka. Jej ręce były cenne.

Jego ręce... jego ręce nie były tylko cenne, były całym jego życiem. Ta rozpuszczona dziewczucha nigdy by tego nie zrozumiała.

Zresztą nie miał najmniejszego zamiaru niczego jej tłumaczyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rachel otworzyła szeroko oczy i przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Serce waliło jej jak młotem. Znowu śnił się jej ten straszny sen z Carlosem, który ścigał ją po labiryncie z nożem w dłoni. Tym razem jednak we śnie pojawił się Orlando, osłonił ją, a po chwili zorientowała się, że jej suknia ślubna jest cała w jego krwi. Wtedy się obudziła. Leżała nieruchomo, sparaliżowana strachem.

Nie ośmieliła się nawet drgnąć, dopóki nie zaburczało jej w brzuchu, bardzo, bardzo głośno. Ten dźwięk sprawił, że parsknęła śmiechem. No jasne, nic nie jadła przez cały dzień, pewnie stąd to dziwne zachowanie w kuchni i dziwaczne sny.

Była głodna, nawet bardzo. Nie miała pojęcia, która jest godzina, ale musiała natychmiast coś zjeść. Marzył się jej tost z masłem i herbata, albo choćby czekoladowy herbatnik.

Rachel wstała z łóżka i ruszyła do drzwi. Było koszmarne zimno, ale nie zawróciła po sweter, chociaż miała na sobie tylko cienką nocną koszulę. Srebrne światło księżyca oświetlało korytarz, kiedy bezszelestnie zeszła ze schodów i znieruchomiała.

Żałowała teraz, że nie poświęciła więcej uwagi rozkładowi domu, zamiast myśleć o zakrwawionych rękach Orlanda Wintertona.

Ruszyła niepewnie w kierunku, jak się jej wydawało, kuchni. Było tu jednak tyle drzwi, nie miała pojęcia, które są właściwe. W końcu otworzyła jedno z nich i znieruchomiała w progu. Olbrzymie pomieszczenie na pewno nie było kuchnią, a w tym nocnym, nieziemskim świetle nic nie wyglądało

znajomo, ani nowoczesne meble, ani antyki. To wszystko natychmiast straciło jakiegokolwiek znaczenie, kiedy nagle ujrzała pod oknem fortepian.

Bez namysłu podeszła do niego. Kiedy na próbę uderzyła w dwa klawisze, instrument wydał z siebie bogaty, czysty dźwięk.

Rachel natychmiast zapomniała o głodzie i usiadła. Po całym dniu rozterek nareszcie miała przed sobą coś, co mogła zrozumieć i kontrolować. Dzięki fortepianowi była w stanie interpretować świat, wyrażać emocje w jedyny sposób, jaki potrafiła, jedyny, jakiego jej nauczono.

Jej palce zaczęły grać Nokturn cis-moll Chopina.

Orlando siedział za biurkiem w bibliotece. W pewnej chwili potarł ręką zmęczone oczy i odchylił się na krześle. Bogu dzięki, większość transakcji prowadził z zagranicznymi kontrahentami, dzięki czemu mógł wykorzystywać nocne godziny na pracę, zamiast przewracać się z boku na bok w łóżku, w oczekiwaniu na sen, który i tak nie nadchodził.

Westchnął ciężko, wstał i podszedł do okna, po czym oparł ręce na drewnianym parapecie, z roztargnieniem dudniąc w niego palcami. Gdzieś daleko słyszał muzykę. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy w końcu postradał zmysły. Kiedy doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne, podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. A jednak nie wyobraził sobie tego. Muzyka naprawdę wypełniała puste pokoje i śpiący dom, rozbrzmiewała emocjami, życiem. Orlando ruszył przed siebie.

W drzwiach do salonu przystanął i poczuł ucisk w gardle. Muzyka zdawała się w nim wzbierać, wibrować, burzyć mury, które pracowicie wznosił wokół siebie przez ostatni rok.

Lekko przechylił głowę i wtedy dostrzegł ją kątem oka. Siedziała plecami do niego, z odchyloną głową, a jej rude włosy spływały po srebrzystej nocnej

koszuli, w którą była ubrana. Wpatrywał się w nią bezradnie, z głodem w oczach, żałując, że nie może zobaczyć więcej. Kiedy jednak spojrzął na nią wprost, zniknęła w czarnej czeluści, a Orlando zacisnął dłonie w pięści.

Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że podszedł do fortepianu, tak bardzo skoncentrowany był na dźwiękach wypływających spod jej palców.

Jej cennych palców.

Jęknął cicho, ze zrozumieniem. O Boże. Był tak bardzo skoncentrowany na sobie, że nawet nie pozwolił jej wyjaśnić, co miała na myśli. Wziął ją za jakąś głupiutką, rozwydrzoną pannicę, która bała się połamać tipsy, ale ona była pianistką... Znakomitą pianistką.

Poczuł znajomą nienawiść do siebie. Zabandażowane palce bolały, gdy oparł dłonie na blacie stolika za sobą. Muzyka wypełniała jego głowę, każda nuta niosła się echem w pustych przestrzeniach jego serca. Czuł spokój.

Dopóki nie usłyszał innego dźwięku.

Począł kilka sekund. Dźwięk się powtórzył.

Dziewczyna siedząca o kilka metrów od niego grała tę cudowną muzykę, jednocześnie płacząc, cicho i rozpaczliwie.

Nie chciał do niej podchodzić. Chciał wyjść z pokoju, uciec, wrócić do biblioteki. Chciał znowu schować się za murami, otoczyć serce lodem i zepchnąć swoje potrzeby, pragnienia, w jakiś ciemny kąt.

Chciał tego, a jednak ruszył w jej kierunku. Czuł się tak, jakby stąpał po rozbitym szkłe, lecz nie mógł się zatrzymać.

Kiedy przebrzmiał ostatni akord, Rachel zamknęła oczy i zwiesiła głowę. Łzy płynęły po jej policzkach.

Dlaczego zagrała właśnie ten utwór?

Może to dzisiejszy sen przywołał wspomnienia. Właśnie Chopina grała tamtej koszmarnej nocy w mieszkaniu Carlosa w Wiedniu, kiedy po raz

pierwszy zmusił ją do seksu. Byli zaręczeni już od ponad trzech tygodni, i właśnie wrócili z restauracji gdy Matka Rachel wymówiła się bólem głowy i pojechała taksówką do hotelu. Carlos zaś zasugerował, żeby Rachel wpadła do niego na kieliszek wina przed snem. Oczywiście natychmiast się zgodziła. Była grzeczną dziewczynką i zawsze robiła to, co jej kazano.

Aż do...

Aż do chwili, kiedy poczuła jego dłonie na swoim ciele, podczas grania nokturnu. Wtedy po raz pierwszy zaprotestowała gwałtownie, a potem walczyła do utraty tchu. Na próżno.

Jej ciałem znowu wstrząsnął szloch.

Dokładnie w tej samej chwili poczuła ciepłe ręce na swoich ramionach. Schwytana w szpony koszmarnych wspomnień, z krzykiem zerwała się z miejsca, żeby uciec. Odwróciła się błyskawicznie, adrenalina dodała jej energii. Orlando natychmiast cofnął się o krok i uniósł ręce. Rachel nie widziała jego ukrytej w cieniu twarzy, ale szybko powróciła do rzeczywistości.

- To ty - szepnęła z nieopisaną ulgą w głosie. - To ty...

- Zgadza się. A kogo się spodziewałaś?

Pokręciła głową, odwracając wzrok. Czowała się jak idiotka i wstydziła się za osobę, którą zrobił z niej Carlos.

- Nie myślałam trzeźwo, po prostu się... przestraszyłam. Ciemności. To głupie?

Orlando roześmiał się bez cienia wesołości.

- Nie, skąd. - Zrobił krok w jej kierunku, a blask księżyca oświetlił jego surowe rysy i szczupłą twarz. - Płakałaś?

- Tak... To idiotyczne, ale masz rację. Całkowicie brakuje mi odwagi, do czegokolwiek. Przez cały czas się boję, w każdej minucie każdego dnia...

Urwała, kiedy sięgnął po jej prawą rękę, i jak zahipnotyzowana patrzyła, jak dotyka palcami jej palców, wszystkich po kolei.

Rachel zamknęła oczy, niezdolna do kontrolowania tego, co zaczęło w niej zbierać, i zadrżała.

- To nic złego - dodał. - Nie ma nic złego w strachu. Ważne jest to, jak sobie z nim radzisz.

Spoglądając na nią kątem oka, widział, że w księżycowym świetle była blada jak porcelana. Zaprzagnął unieść jej dłoń do ust, poczuć chłód tej alabastrowej skóry, odetchnąć czystym zapachem młodości.

Rachel nachyliła się ku niemu.

- Jestem już zmęczona tym strachem. Chcę być odważna.

W jej głosie usłyszał zarówno smutek, jak i gniew. Nie spuszczać wzroku z twarzy Orlanda, zrobiła krok ku niemu, po czym wspięła się na czubki palców, żeby musnąć jego usta.

- Pokaż mi, jak mam być odważna - szepnęła.

W odpowiedzi jęknął coś i gwałtownie przygarnął ją do siebie, całując z namiętnością, która zaskoczyła nawet jego.

Dotyk Orlanda rozpałał w Rachel oczyszczający ogień, dzięki niemu mogła zapomnieć o obrzydliwej bliskości Carlosa.

Nagle w ramionach tego mężczyzny wszystko, co dotąd przerażało ją i na co nie umiała właściwie zareagować, wydało się jej proste, zrozumiałe i bardzo piękne. Kiedy całował ją z pasją, uniosła rękę i dotknęła nią jego szczupłego policzka.

- Rachel... Nie...

Orlando oderwał się od niej, teraz trzymał ją na długość wyprostowanych ramion. Wiedział, że lada moment straci panowanie nad sobą, żeby przez kilka minut poczuć się tak jak dawniej - niemal wszechmocny.

Nie zamierzał jej użyć w tym celu.

- Błagam... - Usłyszał niemal rozpaczliwy ton w jej głosie.

- To ci nie jest do niczego potrzebne - szepnął.

- Boże, Orlando, nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak ogromnie tego potrzebuję. Proszę, błagam... - Teraz niemal łkała.

Opuścił ręce i zacisnął dłonie w pięści. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, był związek, do tego jeszcze skomplikowany. Chciał być sam, sam ze swoim cierpieniem i bólem.

Mimo to tak bardzo jej pragnął. Pragnął się w niej zatracić, teraz, właśnie w tej chwili.

- Potrzebuję cię - usłyszał w tej samej chwili.

Te słowa zadecydowały o wszystkim.

Jęknął z rozpaczą, przygarnął Rachel do siebie i niemal zmiażdżył jej słodkie usta swoimi wargami. Rzeczywistość odpłynęła, razem z jej demonami i rozpaczą. Teraz była tylko ciemność, błogosławiona ciemność, dzięki której czuł mocniej, głębiej. Z trudem zdołał oderwać usta od warg Rachel i ukrył twarz w jej gęstych, pachnących włosach.

- Jeśli teraz nie przestaniemy, nie zdołam... Nie będę mógł... - wychrypiał.

- To dobrze.

Mówiła cicho, ale zdecydowanie. Jej ręce wśliznęły się pod koszulę Orlando i pieściły napiętą skórę na brzuchu. Jakakolwiek racjonalna myśl stała się niemożliwa.

Rachel czuła gorący oddech Orlando na swoich włosach, kiedy jej palce walczyły z zapięciem jego paska. Już nie drżała z zimna, tylko z rozkoszy. Wcześniej pragnęła tylko, żeby jego dotyk zmył z niej wspomnienie Carlosa, teraz jednak nie była nawet w stanie przypomnieć sobie, kim był Carlos.

Orlando wziął ją na ręce, jakby ważyła nie więcej niż dziecko, po czym zaniósł ją na drugą stronę pokoju, przed kominek, i położył na gęstym futrzanym dywanie.

W tej chwili cały świat przestał istnieć, nie liczyło się zupełnie nic poza nimi dwojgiem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Widzę anioły - usłyszał.

Rachel leżała obok niego, wpatrując się w sufit.

- Czy to znaczy, że umarłam i poszłam do nieba?

Orlando drgnął, przekreślił się na bok, twarzą do niej, i oparł na łokciu. Słyszał rozbawienie w jej głosie i żałował, że nie widzi jej twarzy. Chciał się przekonać, czy ta niesamowita pasja, z jaką się kochali, rozświetliła jej oczy, rozjaśniła skórę. Nie mógł jednak tego zobaczyć.

- Wątpię. W końcu ja też tu jestem - odparł szorstko.

- Nie mów tak - szepnęła Rachel. - Ocaliłeś mnie i już za to masz gwarantowane miejsce w niebie.

Przytuliła się do niego z wdzięcznością i w tej samej chwili zrozumiał, o co jej chodziło. Gipsowe anioły zdobiły sufit salonu, w dzieciństwie uwielbiał się w nie wpatrywać i wyobrazać sobie różne historie. Zapomniał jednak o nich na długo przed tym, zanim stracił możliwość patrzenia na nie.

- Popatrz - powiedziała cicho. - Są takie piękne. Jestem pewna, że w niebie nie mogłoby być piękniej niż tutaj.

Orlando westchnął ciężko. Oczywiście nic nie widział. Kolory, które wcześniej go wypełniały, zaczęły blaknąć i ustępować miejsca ciemności, jak puste zimowe niebo po pokazie fajerwerków.

- Nie sądzę, żeby niebo istniało - powiedział cicho, obojętnie.

Nie było wiecznej szczęśliwości, każda radość trwała krótko i miała wysoką cenę. W nocy pozwolił sobie na chwilę zapomnienia, ale noc minęła i nadeszła pora, by wycofać się za mur z lodu i stali.

W ciemności poczuł jej palce na swojej twarzy i zeszywniał.

- Orlando, zawsze byłeś taki cyniczny?

- Nie.

- Co się stało? Chodzi o Felixa?

Chwycił rękę Rachel i splótł swoje palce z jej palcami, czując jej kruchość, a jednocześnie zdumiewającą, niewiarygodną siłę.

- Może. - Ta krzycząca niesprawiedliwość, fakt, że życie jego brata, wartościowe, cenne, tak nagle się zakończyło, podczas gdy jego, bezwartościowe i bezcelowe, miało trwać dalej, zrobiła z niego cynika. - Ale nie tylko.

- Opowiedz mi.

Pocałował ją w rękę, jakby na pożegnanie.

- Nie. - Zerwał się z ziemi i sięgnął po ubranie. - Nie ma o czym mówić. Coś straciłem i tyle, coś, co uważałem za oczywistość. Teraz mi tego brakuje. Przez cały czas, cholera.

Zwłaszcza teraz, zwłaszcza w tej chwili, kiedy oddałbym wszystko, żeby móc cię widzieć - pomyślał.

Odwrócił się i nagle dotarło do niego, jak jest zimno. Wyciągnął rękę i zaczął macać półkę nad kominkiem w poszukiwaniu zapalek. Na szczęście

drewno zajęło się od razu, więc się wyprostował i kątem oka patrzył na mały, dzielny płomyk, który rozświetlał ciemność.

Rachel usiadła, objęła rękami podciągnięte kolana i oparła na nich brodę.

- Powiedziałeś mi, że strach jest w porządku. I że liczy się to, co z nim zrobisz.

Orlando milczał.

- Myślę, że to samo odnosi się do straty. Nic się nie da na nią poradzić, ale liczy się to, jak się na nią zareaguje.

- Doprawdy? - Parsknął nieprzyjemnym, pełnym goryczy śmiechem.

Jego chłód ją zaskoczył. Rachel uświadomiła sobie, że jest całkiem naga, i poczuła się nieswojo. Orlando zachowywał się tak, jakby jeszcze przed chwilą nie było między nimi bliskości. Mur, który ich dzielił, powrócił.

- Przepraszam... W końcu nic o tym nie wiem. Jestem pianistką, nie psychologiem - wykrztusiła, po czym wstała i zaczęła szukać swojej nocnej koszuli.

Orlando odwrócił się do niej, a wtedy przeszył ją dreszcz na widok jego nieprzystępnej miny.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej, że jesteś pianistką? Nie zrozumiałem, o co ci chodziło z rękami. Sądziłem, że to zwykła próżność.

- Sama nie wiem... Może niepotrzebnie założyłam, że... niektórzy mnie rozpoznają. Carlos bardzo rozreklamował moją pierwszą płytę, wszędzie wisiały wielkie plakaty.

W tej samej chwili Orlando przypomniał sobie rudowłosą dziewczynę z ulicznej reklamy. To było w dniu, w którym wyszedł z gabinetu Andrew Parkesa ze świadomością, że wszystko się zmieniło.

- Jestem filistynem - burknął tylko. - Rzadko wychodzę z domu, mam bardzo dużo pracy. Ostatni raz miałem do czynienia z muzyką na musicalu w

kantynie oficerskiej. Grali piosenki, których na pewno nie znasz, a przynajmniej mam taką nadzieję. A na koniec fortepian został podpalony.

- O nie! - jęknęła. - Dlaczego?

- Stara RAF-owska tradycja. Dzieje się tak co roku.

- Przecież to okropne! Jak mogliście?

Orlando popatrzył na płomienie w kominku.

- To tylko fortepian. - Wzruszył ramionami.

- Masz rację. Zdarza mi się zapominać. Czasem mam wrażenie, że to mój jedyny przyjaciel. - Objęła się ramionami i zaśmiała nieszczercze. - No cóż, to naprawdę jest mój jedyny przyjaciel. Chyba ostatecznie zrozumiałam to dziś po południu, kiedy siedziałam samotnie w pokoju, czekając, aż zawiozą mnie do kościoła. Wtedy do mnie dotarło, że właśnie z fortepianem stworzyłam jedyny udany związek w życiu.

Jej samotność była niemal namacalna. Orlanda uderzyła ironia ich losów - przez ostatni rok robił wszystko, żeby wyeliminować zewnętrzny świat ze swojego życia, podczas gdy ta dziewczyna bardzo pragnęła bliskości drugiego człowieka.

- Co cię tu sprowadziło? Do tego zapomnianego przez Boga miejsca, do Easton? - Starął się ukryć frustrację, ale musiał zadać to pytanie.

Jaki przypadek przywiódł ją tutaj, żeby rozdrapywała jego nadal świeże rany?

Rachel ponownie usiadła na futrzanym dywanie i objęła kolana rękami.

- Ludzie Carlosa znaleźli to miejsce i uznali, że będzie się doskonale nadawało na ślub. Takie angielskie i arystokratyczne - wszystko pasowało do mojego image'u, który stworzyli. Wynajęli budynek na pół roku, ale do wczoraj nigdy go nie widziałam. To mogło być gdziekolwiek.

Wstała i powoli podeszła do Orlanda, po czym przystanąła. Z wahaniem położyła rękę na jego piersi, tuż przy sercu.

- Tak bardzo się cieszę, że to nie było gdziekolwiek, tylko tutaj - szepnęła.

Odetchnął głęboko i delikatnie odsunął jej rękę, jednocześnie odwracając twarz, żeby nie mogła wyczytać z niej prawdy. Żeby nie wiedziała, jak bardzo żałował, że pojawiła się w jego życiu i zachwiała wznoszoną przez ubiegły rok konstrukcją. W tej samej chwili jednak coś innego przyciągnęło jego uwagę, jakiś ruch zaobserwowany kątem oka. Orlando podeszedł do okna i odchylił zasłonę. Na jego ustach pojawił się smutny, lekko zabarwiony ironią uśmiech.

- Pada śnieg - zauważył.

- Och... - Podeszła i stanęła obok niego, patrząc z podziwem na ogród pokryty białym puchem. Wyglądał niezmiernie, natychmiast skojarzył się jej ze sceną z *Dziadka do orzechów*. - Jak pięknie! Szczęściarz z ciebie, że mieszkasz w takim cudownym miejscu.

Na widok jego uśmiechu poczuła, że robi się jej gęsia skórka.

- Powiedzmy, że całe to piękno się marnuje.

Podniósł jej koszulę i przytrzymał, żeby Rachel mogła ją na siebie włożyć, więc posłusznie jak dziecko wyciągnęła rękę.

Nagle poczuła się bardzo, bardzo zmęczona.

- Która godzina? - zapytała.

- Po trzeciej.

Ziewnęła dyskretnie i uświadomiła sobie, że kiedy tu przyszedł, był ubrany tak samo jak wcześniej.

- Nie spałeś?

- Praca. Musiałem też dopilnować pewnych spraw w związku z jutrzejszym dniem.

- A co się stanie jutro? - zainteresowała się.

Orlando wziął ją za rękę i delikatnie pociągnął ku drzwiom.

- Jutro wyprawiamy doroczny bal w Easton Hall, na zakończenie sezonu łowieckiego. Stara tradycja.

- Jakie to piękne... - Rachel natychmiast wyobraziła sobie piękne damy w olśniewających sukniach, mężczyzn we frakach i smokingach... Orlanda w czarnym fraku...

- Piękne? - prychnął lekceważąco. - Zapewniam cię, moja droga, że to siódmy krąg piekieł. Posiadłość sporo zarabia na polowaniach na bażanty, a ściśle biorąc, na organizowaniu polowań dla pracowników wielkich korporacji, i wszyscy przyjadą tu jutro pokazać, jacy z nich macho. Dom będzie pełen pijanych księgowych i maklerów z City, zdecydowanych wychlać jak najwięcej szampana i popisywać się przed koleżankami.

- I ty musisz to zorganizować?

Teraz znajdowali się już na pogrążonym w mroku korytarzu.

- Właściwie to nie - przyznał szczerze. - Zatrudniam ludzi z firmy cateringowej i organizatorkę, a resztą zajmuje się moja wyjątkowo kompetentna gospodyni.

- Najazd obcych ludzi na własny dom musi być okropny - zauważyła.

- Pierwszy raz cała odpowiedzialność spada na mnie. - Przez dwa lata organizacją imprez zajmowała się Arabella. Jej bale tematyczne były spektakularne i tak właśnie się prezentowały na stronach kolorowej prasy, ale mieszkańcy posiadłości ich nie cierpieli. - W zeszłym roku bal został odwołany z powodu śmierci Felixa.

Rachel pochyliła głowę.

- Będzie ci ciężko bez niego - westchnęła.

- Tak. - Zerknął na nią, po czym odwrócił wzrok i uśmiechnął się lekko. -
Chociaż rok przed śmiercią narobił koszmarnych kłopotów, znikając na górze z
żoną jednego z menadżerów. Musiałem dać facetowi skrzynkę najlepszego
porto, żeby nie robił z tego afery. Przynajmniej nie będę się musiał o to
martwić w tym roku.

- Mówisz poważnie? - zapytała ze zdziwieniem. - Wyobrażałam sobie, że
Felix był taki ja ty, ale widzę, że w rzeczywistości musieliście się bardzo
różnić.

- Nie. Obaj byliśmy okropni, jeden wart drugiego. Tyle że ja, jako
starszy, miałem więcej do stracenia.

Teraz byli już na szczycie schodów, w pogrążonym w mroku korytarzu.
Orlando objął Rachel i ją prowadził. Patrzył prosto przed siebie, starając się nie
myśleć o tym, jak dobrze było ją trzymać w ramionach, jak bardzo tam
pasowała.

Tak nie powinno być. To niemożliwe.

- Nigdy nie zapalasz świateł? - zapytała.

- Nie muszę, mieszkałem tu przez całe swoje życie. Mógłbym chodzić po
domu z zamkniętymi oczami.

Nie dodał, że był to jeden z powodów, dla których tu wrócił.

W sypialni położył ją na łóżku i przykrył kołdrą, po czym cofnął się
szybko. Jego ręce opadły. Już czuł, że są puste.

A gdyby... tylko tej jednej nocy...

Poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Pragnął jej, ale
dobrze wiedział, że gdyby teraz ją miał, nie potrafiłby już przestać jej pragnąć.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Odezwała się w chwili, gdy naciskał
klamkę.

- Dziękuję. - Słyszał, że jest bardzo zmęczona.

- Za co?

Zaśmiała się z zakłopotaniem.

- Że mnie przygarnąłeś, pozwoliłeś mi zostać. Chociaż... - umilkła na chwilę. - Za to też. - Mówiła coraz wolniej, prawie już spała. - Pierwszy... raz...

Orlando zamarł. Nagle zrobiło mu się gorąco ze wstydu.

- Pierwszy raz? - W trzech krokach podszedł do łóżka, po czym wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. - Pierwszy raz, Rachel? Byłaś dziewicą?

Rachel głęboko westchnęła.

- Nie. Ale pierwszy raz... naprawdę tego chciałam.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rachel zbiegła lekko po wielkich schodach, jednocześnie poprawiając palcami zmierzwione włosy. Już wcześniej, pędząc korytarzem na górze, zauważyła, że podwórze jest pokryte warstwą puchu, równie białą i miękką jak kołdra, pod którą dziś spała.

I na dodatek spała doskonale.

Czuła się... wolna. Uciekła od Carlosa i dzięki temu odkryła się na nowo, a właściwie nie na nowo, lecz po raz pierwszy w życiu. Może jednak nie była niekompetentną idiotką, za jaką uważała ją matka. Carlos twierdził, że w łóżku jest zimna jak lód, a okazało się, że nie mógł się bardziej mylić...

Tę ostatnią, całkiem przyjemną myśl przerwał głośny sygnał telefonu. Rachel rozejrzała się i zauważyła aparat na stoliku w wielkim holu. Popatrzyła na niego niepewnie, nie wiedząc, co robić. Nigdzie nie było nawet śladu Orlanda, a telefon nie przestawał dzwonić. Czuła się bezradnie, nigdy dotąd nie musiała odbierać za nikogo telefonu. Właściwie to rzadko kiedy musiała rozmawiać przez telefon...

Odwaga.

Na litość boską, to tylko telefon, nie bomba, pomyślała ze złością i chwyciła za słuchawkę.

- Halo? Easton Hall. - Czuła się dumna i kompetentna.

- Hm? - Głos kobiety po drugiej stronie był niski, uwodzicielski i przede wszystkim zdumiony.

Rachel poczuła, jak jej pewność siebie znika.

- Nie rozmawiam z panią Harper, prawda?

- N-nie - zająknęła się Rachel. - Czy mogę coś przekazać?

- No cóż... - mruknęła kobieta i przez jedną krótką chwilę Rachel poczuła się osobiście odpowiedzialna za nieobecność pani Harper. - Czy mogę mówić z Orlandem?

- Bardzo przepraszam, ale chyba go nie ma - odparła Rachel cicho. - To znaczy, dopiero wstałam i nikogo nie...

- Wstałam? - W głosie jej rozmówczyni brzmiało szczere niedowierzenie. - Rozumiem i wobec tego przepraszam. - Kobieta parsknęła niezbyt uprzejmym śmiechem. - Założyłam, że jest pani personelem pomocniczym...

Celowo zawiesiła głos, więc Rachel poczuła się zobowiązana do wyjaśnienia sytuacji.

- Nie, nie, jestem tylko przyjaciółką... Orlanda... - Zacisnęła powieki ze wstydu, tak banalnie to zabrzmiało.

- Przyjaciółką?

Tym razem bez wątpienia usłyszała wrogość i wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy przypadkiem nie odłożyć słuchawki.

Zapadła cisza, ale kiedy kobieta ją przerwała, jej głos aż ociekał fałszywą troską.

- Wobec tego, skoro jest pani przyjaciółką Orlanda, może powie mi pani, jak on się miewa?

Rachel przełknęła ślinę, zaskoczona tą nagłą zmianą taktyki.

- Chyba... dobrze.

- Tak mi przykro - westchnęła kobieta. - Wiem, że to pewnie brzmi idiotycznie, skoro wcale się nie znamy, ale nie mam kogo zapytać. Jak naprawdę się miewa? Skoro jest pani przyjaciółką, to na pewno pani wie. Czy wydaje się załamany?

Fragmenty układanki zaczęły tworzyć spójną całość, a szybkość tego procesu sprawiła, że Rachel wstrzymała oddech. Nie było już śladu po naiwnej euforii sprzed kilku minut. Poczowała, że jej gardło jest bardzo wyschnięte.

- Tak - wychrypiała. - Wydaje się załamany.

- O Boże.... Co za sytuacja - powiedziała kobieta powoli.

Jej seksowny głos z lekkim cudzoziemskim akcentem był pełen emocji i Rachel poczuła się zawstydzona bezmiarem własnej wrogości. Zapra gnęła cisnąć telefonem o ścianę, i zrobiłaby to, gdyby tylko mogło to jakoś zranić osobę po drugiej stronie przewodu. Osobę, którą kochał Orlando.

- Bardzo pani dziękuję - ciągnęła kobieta. - Dobrze wiedzieć, że jest równie nieszczęśliwy jak ja. To szaleństwo, że nie jesteśmy razem... Ale pani słowa przekonały mnie, że powinnam wrócić.

- Powiem mu... - zaczęła Rachel z trudem, ale kobieta natychmiast jej przerwała.

- Nie! - Zabrzmiało to zdumiewająco ostro. - Nie, proszę mu niczego nie mówić. Zamierzam go zaskoczyć. - Zaśmiała się krótko. W tym śmiechu nie było ani odrobiny smutku, tylko triumf.

Tłumiąc mdłości, Rachel drżącą ręką odłożyła słuchawkę, i w tej samej chwili drzwi wejściowe się otworzyły. W progu stał Orlando, przyprószony śniegiem.

Lekko przechylił głowę i zmarszczył brwi, po czym podszedł do Rachel.

- Kto to był?

- Nie przedstawiła się - wymamrotała Rachel i podskoczyła, kiedy telefon zadzwonił ponownie.

Orlando natychmiast sięgnął po słuchawkę.

- Arabella?

Rachel zrobiła kilka niepewnych kroków do tyłu.

A więc to tak. Właściwie powinna być wdzięczna nieznajomej. Gdyby nie wiedziała, być może zrobiłaby z siebie jeszcze większą idiotkę.

Poszła do kuchni, próbując zwalczyć rozczarowanie i ból. Doskonale rozumiała, że wczorajsza noc była całkowicie wolna od obietnic, ale niepotrzebnie uwierzyła, że to, co zrobili, miało jakiegokolwiek znaczenie.

Poczuła ucisk w gardle na wspomnienie spojrzenia Orlanda. Patrzył na nią tak, jakby widział nie tylko jej twarz, ale i duszę. Teraz rozumiała już dlaczego. Wcale jej nie widział, widział tylko swoją Arabelle. Nalewając wodę do czajnika, Rachel wyobraziła sobie nagą, ciemnowłosą, egzotyczną supermodelkę w atlasowej pościeli. Właśnie dokładała do tego obrazka szkarłatną szminkę i butelkę szampana, kiedy nagle wrzasnęła i odskoczyła, uświadomiwszy sobie, że ocieka wodą.

Czyjeś silne ręce zabrały jej czajnik i zakreśliły kran. Zawstydzona Rachel popatrzyła na ściągnięte brwi Orlanda i znów poczuła ból w sercu.

- Chciałam tylko napić się kawy, zaraz sobie pójdę - wymamrotała, nie patrząc mu w oczy.

- Nie bądź śmieszna. Niby dokąd pójdziesz?

Wydawał się rozkojarzony i zły. I bardzo zimny. Poczuła się jeszcze gorzej, choć nie sądziła, że to możliwe.

- Nie wiem, ale na pewno znajdę jakiś hotel. Mam dużo pieniędzy...

- Nie, nigdzie nie pójdziesz.

- Ale przecież ustaliliśmy... Że to tylko na jedną noc.

Orlando nagle się odwrócił, przeszedł na drugą stronę kuchni i tam się zatrzymał, plecami do Rachel. Tym samym jasno dał jej do zrozumienia, że jeśli o niego chodzi, nie życzy sobie, aby mu przypominać o tej nocy.

- Przed chwilą dzwonił syn naszej gospodyni. Pani Harper pośliznęła się dziś rano na lodzie i właśnie jedzie do szpitala. Podejrzewają złamanie kostki i obojczyka.

- Biedaczka!

- Jesteś zdecydowanie miłsza ode mnie, moja pierwsza reakcja okazała się znacznie mniej współczująca. Akurat dzisiaj, cholera.

- Bal... No tak.

- Tak. - Nadal stał plecami do niej.

Rachel pomyślała z rozpaczą, że po tej nocy nawet nie był w stanie na nią spojrzeć.

- Chcę, żebyś została.

- Co? - Nie spodziewała się tych słów.

Orlando westchnął ciężko i wzruszył ramionami.

- Powiedziałem, że chcę, żebyś została. - Mówił przez zaciśnięte zęby, z demonstracyjną cierpliwością, jakby Rachel była kompletną idiotką. - Muszę pracować, przez większość czasu jestem zajęty konsultacjami z Whitehall i Pentagonem. Jesteś mi potrzebna... - Urwał i wyraźnie się zawahał. - Jesteś mi potrzebna dziś wieczorem, żeby wszystko było przygotowane na czas.

Rachel ze zdumieniem pokręciła głową, usiłując połapać się w sytuacji. Przez jedną krótką chwilę wierzyła, że ta przerwa po słowach: „Jesteś mi potrzebna” coś znaczy. Że Orlando chce, żeby została, bo jej pragnie, a nie dlatego, że chwilowo zabrakło mu personelu.

- Nie mogę - westchnęła. - Wiesz, że nie mogę. Byłabym beznadziejna, Orlando, przecież zdajesz sobie sprawę, że nic nie potrafię. Tylko robiłabym bałagan i pewnie rozlałabym wino na czyjąś drogą sukienkę.

Odwrócił się do niej.

- Nie bądź śmieszna - warknął. - Od tego są inni, na litość boską. Nie każę ci przecież być kelnerką.

- A niby kim? - Uniosła brodę i popatrzyła na niego z wyzwaniem w oczach. - Skoro nie mam tu zostać jako kelnerka, to do czego ci jestem potrzebna? Do odgrywania kochanki?

Umilkła i poczuła, że rumieniec wystąpił na jej policzki, kiedy zdała sobie sprawę, jak absurdalnie to zabrzmiało.

Kochanki? Co jej strzeliło do głowy?

Na twarzy Orlanda pojawił się dziwny uśmiech.

- Mojej kochanki? Nie, zapewniam cię, że nie będzie to wchodziło w zakres twoich obowiązków. Właściwie, skoro już o tym wspomniałaś, wyjaśnijmy coś sobie. Proszę cię o pozostanie tutaj z przyczyn wyłącznie praktycznych. To, co się między nami wydarzyło dzisiejszej nocy, nie ma nic do rzeczy.

Rachel przygryzła wargę.

- A jeśli nie będę chciała zostać?

Orlando znowu wzruszył ramionami.

- No to nie zostaniesz, tylko zdecydujesz, dokąd chcesz się udać. Proszę cię o pomoc, a nie próbuję tu uwięzić.

Rzucił jej linę ratunkową, dobrze o tym wiedziała. Dawał jej czas. Dlaczego zatem się wahała?

Popatrzyła na swoje dłonie. Podświadomie rozprostowywała i kurczyła palce, przygotowując się do porannych ćwiczeń, jak zawsze w poprzednim życiu. W życiu z Carlosem, w życiu, od którego wczoraj uciekła, nie zastanawiając się nawet dokąd.

Wepchnęła ręce do kieszeni dzinsów i popatrzyła na Orlanda ze smutnym uśmiechem. Chwilowo duma była luksusem, na który nie mogła sobie pozwolić.

- Oczywiście, że zostanę - powiedziała cicho. - Dziękuję. Postaram się być naprawdę użyteczna.

W odpowiedzi tylko skinął głową, po czym odwrócił się i wyszedł.

Orlando wszedł do biblioteki i trzasnął drzwiami, odgradzając się od reszty świata.

Pomyślał z ironią, że powinien być z siebie dumny. Po raz pierwszy od roku zrobił coś nie dla siebie, a dla kogoś innego.

A Rachel zareagowała tak, jakby kazał jej wziąć do ręki boa dusiciela.

Orlando usiadł za biurkiem i wykrzywił usta. Nie mogła się doczekać, kiedy się stąd wyniesie. Nie ma dokąd iść, nie potrafi nawet nastawić wody na kawę, a jednak marzy o ucieczce, byle tylko znaleźć się jak najdalej od niego.

Dlaczego?

Wczoraj w nocy była zupełnie inna. Była mu wdzięczna. A on czuł się jak ostatni łajdak, bo dobrze wiedział, że nie spełni jej oczekiwań.

Dzisiejsza zamiana ról była dziwna i niepokojąca. Co się właściwie stało?

Nagle zrozumiał.

Arabella. Poza lekarzami tylko ona wiedziała o jego chorobie.

I dziś rozmawiała z Rachel przez telefon.

Rachel wzięła kubek kawy i wyszła na korytarz. Czuła się zupełnie zagubiona. W oddali słyszała hałas i krzyki robotników wynoszących meble z salonu i ustawiających stoły w jadalni. Dom był zupełnie inny niż wczoraj, pełen życia. Wczorajsza noc wydawała się zupełnie nierealna.

Stała w progu pokoju, w którym wczoraj kochała się z Orlandem.

- Przepraszam? Nie wie pani może, gdzie znajdę panią Harper?

Rachel omal nie podskoczyła.

Odwróciła głowę i ujrzała dziewczynę niewiele starszą od siebie, ale zupełnie inną. Świetnie ubraną, elegancką, wyrafinowaną, o arystokratycznych rysach - takiej dziewczyny można by się spodziewać w Harrodsie, w otoczeniu przyjaciółek o imionach w rodzaju Henrietta lub Lucinda.

Dziewczyna wyciągnęła dłoń o przepięknie wymanikiurowanych paznokciach.

- Przepraszam, jestem Lucinda. *Z Ognia i Wody*. Agencji odpowiedzialnej za przygotowanie balu - dodała na widok zaskoczonej miny Rachel.

- Tak, oczywiście. - Rachel oblała się rumieńcem. Na krótką chwilę nazwa firmy Lucindy wprawiła ją w osłupienie. - Ja jestem Rachel. Ogromnie mi przykro, ale pani Harper dziś nie przyjdzie. Pośliznęła się na lodzie i złamała nogę.

Lucindzie natychmiast zrzędała mina.

- A niech to szlag trafi - jęknęła. - Cholerna pogoda. Tak strasznie liczyłam na to, że ktoś mi pomoże. Pół naszego biura leży z zakichaną grypą, więc musiałam przyjechać tu sama i...

Nagły dzwonek komórki przerwał jej i Lucinda sięgnęła do swojej designerskiej torby, po czym skinęła głową Rachel i odwróciła się. Rachel patrzyła na jej nienagannie skrojony kostium i przepiękne paznokcie. Lucinda wyglądała na prawdziwą profesjonalistkę, właściwą osobę na właściwym miejscu. Rachel westchnęła z zazdrością i popatrzyła na wytarte rękawy swojego ukochanego, ale zdecydowanie wiekowego swetra.

Lucinda przerwała połączenie i szpetnie zaklęła.

- To była florystka - powiedziała do Rachel. - Odwołano wszystkie loty z Channel Islands, więc kwiatów nie będzie. I co teraz? Jak ja to wytłumaczę?

Rachel zrobiło się szczerze żal dziewczyny.

- Musisz się napić mocnej kawy - oznajmiła i wzięła Lucindę pod rękę. - Chodź ze mną.

Już po kilku minutach podała jej kubek kawy.

- Dzięki - powiedziała Lucinda ze szczerą wdzięcznością w głosie. - Nie masz pojęcia, jak tego potrzebowałam. Ratujesz mi życie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Rachel uśmiechnęła się do niej. Naprawdę cieszyło ją, że wreszcie zrobiła coś pożytecznego.

- Oj uważaj, bo potraktuję to poważnie. - Lucinda jęknęła i wyjęła z torby tabletkę paracetamolu. - Paskudnie się czuję.

- Biedactwo. Może też zachorowałaś na grypę?

- Oby nie. Muszę przygotować to przyjęcie, po prostu muszę - jej głos lekko zadrżał. Rachel uświadomiła sobie, że profesjonalizm Lucindy to w dużym stopniu maska, poza chroniąca ją przed światem. - Interesy nie idą najlepiej, a to mógłby być przełom, doskonała okazja do pozyskania nowych klientów. Dlatego właśnie tak liczyłam na panią Harper.

- Nie ma ze mnie szczególnie wielkiego pożytku, ale zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc - oznajmiła Rachel.

Na twarzy Lucindy odmalowała się ulga.

- Naprawdę? Ale na kwiatowy kryzys chyba niewiele poradzisz?

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy Rachel kończyła układać w salonie przyniesione z ogrodu gałęzie świerków i ostrokrzewów. Lucinda przewiozła ze sobą prostokątne wazon, na tyle duże, że wytrzymałyby ciężar gałęzi.

Rachel cofnęła się o krok i z satysfakcją podziwiała swoje dzieło. Spróbowała czegoś nowego i nie zrobiła z siebie kretynki.

Raźnym krokiem poszła szukać Lucindy. Znalazła ją w gotowej do przyjęcia jadalni, pogrążoną w rozmowie z jednym z pracowników, którzy przez cały dzień plątali się po posiadłości z tacami łososia i homara, niezliczoną liczbą sałatek i najrozmaitszymi deserami.

- Bardzo wyraźnie prosiłam o świece! - Rachel usłyszała histerię w głosie Lucindy. - Proszę mi teraz nie mówić, że ich nie ma.

- Bardzo mi przykro. - Mężczyzna mówił zdecydowanym tonem. - Nie otrzymaliśmy tej informacji. Osobiście dwukrotnie sprawdzałem, co należy przywieźć, i świec z całą pewnością nie było na liście.

- Chce mi pan powiedzieć...

Rachel położyła rękę na ramieniu Lucindy i poczuła, że dziewczyna drży.

- Nie martw się, ja pójdę po świece - oznajmiła. - Wszystko jest gotowe, więc i tak nie mam nic lepszego do roboty.

Lucinda odwróciła się do niej. Była blada jak ściana, ale miała nienaturalnie czerwone policzki.

- Naprawdę? - Jej głos się łamał. - Byłoby cudownie.

Rachel odciągnęła ją od mężczyzny i powiedziała cicho:

- Lucinda, okropnie wyglądasz.

- Okropnie się czuję. - Lucinda zaczęła szczerkać zębami. Po jej policzkach spłynęły łzy. - Nie wiem, co robić.

- Natychmiast idź do łóżka - nakazała jej przytomnie Rachel. - Musisz. Na pierwszy rzut oka widać, że jesteś chora.

- Nie mogę! Mam mnóstwo pracy!

- Nieważne. - Rachel objęła ją mocno. Lucinda była rozpalona, a teraz otwarcie płakała. Ani trochę nie przypominała eleganckiej młodej kobiety,

która tak bardzo spieszyła Rachel. - Ci ludzie zajmą się drinkami, a ja od razu pójdę po świece. Tylko co z tobą? Nie możesz w takim stanie wrócić do Londynu.

- Wiem... - Lucinda westchnęła i popatrzyła na Rachel spod zapuchniętych powiek. - Moja matka chrzestna mieszka kilkanaście kilometrów stąd, tuż za sąsiednią wioską. Na pewno pozwoli mi zostać.

- Zadzwoń do niej - zażądała Rachel. - Podrzucę cię, kiedy będę jechała po świece.

- Nie powinnaś powiadomić lorda Ashbrooke'a?

Rachel już miała to zrobić, kiedy nagle przed oczami stanęła jej poranna mina Orlanda.

- Jest bardzo zajęty i na pewno nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzać.

- Jesteś cudowna - powiedziała Lucinda z wdzięcznością i uściśnęła ją lekko.

Rachel uśmiechnęła się do niej ze smutkiem. Niestety, nie wszyscy podzielali zdanie Lucindy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Śnieg zupełnie odmienił okolicę, która jeszcze poprzedniego dnia wydawała się taka ponura. Jadąc ostrożnie do Easton, Rachel uniosła rękę i z wahaniem dotknęła szyi. Dziwnie się czuła z nową fryzurą. Wstąpiła do salonu pod wpływem impulsu, w trakcie wyprawy po świece, i zażądała od fryzjerki fryzury na jeża, jednak przerażona takim świętokradztwem kobieta stanowczo odmówiła i zdołała przekonać Rachel do eleganckiego pazia.

Rachel czuła się wspaniale, znacznie lżejsza niż dotychczas. Dopiero teraz mogła się przekonać, jakim ciężarem były te piękne rude, długie włosy, jej „integralna cecha”, jak to ujeli piarowcy Carlosa. Była wolna, i to pod każdym względem, całkiem jakby Orlando Winterton zerwał z niej kajdany.

Nic dziwnego, że tak mnie pociąga, pomyślała ze smutkiem. Był pierwszą osobą, która ją wysłuchała, która naprawdę ją widziała - jej duszę, a nie tylko śliczną, porcelanową buzię i wielkie oczy.

Jaka szkoda, że on kocha inną...

Nagle krzyknęła i z całej siły wcisnęła hamulec, ale było już za późno. Samochód zakołysał się na śliskiej drodze, kompletnie poza jej kontrolą.

Nagle wszystko zamarło, a potem samochodem wstrząsnęło. Rozległ się odgłos pękającego szkła.

W nagłej ciszy Rachel zaśmiała się nerwowo.

Znowu ten cholerny most.

Co dowodziło, że nawet jeśli się wie o niebezpieczeństwie, niekoniecznie zdoła się go uniknąć.

W domu panowała kompletna cisza. Rachel przystanąła w holu, postawiła torby z zakupami na podłodze i nasłuchiwała. Najwyraźniej ekipa

cateringowa zakończyła pracę. Nic nie wskazywało na to, że te puste, głuche pomieszczenia już za dwie godziny wypełnią się ludźmi i Rachel po raz pierwszy tego dnia poczuła przerażenie. Sama nalegała, żeby Lucinda odpoczęła u matki chrzestnej, więc teraz cała odpowiedzialność za bal spadła na jej barki.

Chwyliła torby, przeszła do kuchni i drżącymi rękami zaczęła wyjmować zakupy.

Orlando stał przed lustrem i po raz tysięczny próbował zapiąć spinkę do mankietu. Tak jak poprzednio, nic z tego nie wyszło i spinka wylądowała na podłodze. Zaklął i zaczął szukać jej na czworakach, kiedy nagle usłyszał pukanie do drzwi.

- Tak?

- Orlando? - To była Rachel.

- Co? - Wyprostował się ze spinką w dłoni.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale nie mogę zapiąć sukienki. Pomożesz mi?

- Wejdz.

Znowu to samo. Odwrócił się powoli i popatrzył na nią.

- Jak to się zapina? - Uniósł zabandażowane palce. - Ja też mam kłopoty.

- Zamek błyskawiczny, poradzisz sobie jedną ręką. A potem ja ci pomogę.

- W porządku, odwróć się.

Czy tylko to sobie wyobraził, czy naprawdę usłyszał jej westchnienie, kiedy się odwracała?

Odruchowo uniósł dłoń, żeby odgarnąć jej długie włosy, ale na nic nie natrafił. No jasne, z pewnością je spięła.

Zamek zaczynał się bardzo nisko, przy kości ogonowej. Palce Orlanda musnęły miękki materiał i jednocześnie jedwabiącą gładką skórę. Natychmiast cofnął dłoń.

- Dasz sobie radę? - usłyszał.

- Jasne - warknął i pociągnął zamek w górę. - Już.

- Dziękuję. - Rachel odwróciła się i spojrzała na niego. - Teraz ty. - Nagle zadrżała i przymknęła powieki, a spinka, którą jej wcześniej podał, wysunęła się z jej reki. - Przepraszam, nie wiem, co się ze mną dzieje.

Przyklękła i zaczęła szukać spinki na dywanie. Uderzyła ją ironia tej sytuacji - oto dosłownie klęczała u stóp Orlanda. Tak nie mogło dłużej być, pomyślała ze złością, pora wziąć się w garść.

Wstała i odetchnęła głęboko.

- Przepraszam, spróbuję jeszcze raz - oznajmiła sztywno.

Niczego jej nie obiecywał, nie dał powodu do takich reakcji. Nawet nie zauważył jej nowej fryzury. Niby czego się spodziewała? Że popatrzy na nią, zachwyci się i wtedy olśni go, że jednak nie kocha Arabelli, tylko Rachel? Naprawdę była żalosna.

Ze złością wstała i popełniła błąd, gdyż spojrzała na Orlanda. Patrzył gdzieś w przestrzeń nad jej głową i wyglądał, jakby bardzo cierpiał. Szybko odwróciła wzrok.

Arabella. Żałował, że nie była Arabellą.

Ból walczył w niej ze współczuciem. W tej jednej krótkiej chwili zrozumiała, że Orlando cierpiał tak samo jak ona. Różnica polegała na tym, że właśnie ona i tylko ona mogła mu nieco ulżyć w cierpieniu. Co prawda Arabella prosiła, żeby nic nie mówić, ale przecież chyba nie stanie się nic złego, jeśli Orlando dowie się o jej powrocie?

Rachel westchnęła ciężko. W końcu zdołała zapiąć spinę i zrobiła krok do tyłu.

- Dziękuję - powiedział Orlando oficjalnym tonem.

Rachel przełknęła ślinę.

- Nie ma za co. Jeśli to już wszystko, pójdę...

Uniosła skraj sukni i niemal pobiegła do drzwi, walcząc z nieracjonalnymi łzami. Sukienka, fryzura, makijaż - wszystko na nic. Nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Pomyślał z goryczą, że nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła stąd zniknąć. Doskonale wyczuwał jej zakłopotanie, co oznaczało tylko jedno - że jego podejrzenia była słuszne.

Arabella wszystko jej powiedziała.

Nagle Rachel przystanęła z ręką na klamce.

- Na pewno dasz sobie radę z resztą? - wykrztusiła.

- Bez obaw.

- A krawat?

- Potrafię wiązać krawat - odparł ze zniecierpliwieniem.

- Jedną ręką? - Jej głos wyraźnie drżał, jakby cierpiała. Albo litowała się nad nim.

Poczuł, że zaciska dłonie w pięści. Po chwili złapał jedwabny krawat i próbując ukryć wrogość na twarzy, rzucił go Rachel.

- Nie - burknął.

Chwyciła krawat, podeszła i na moment zamarła. Nie ośmieliła się spojrzeć na Orlanda, ze strachu, że zobaczy obrzydzenie na jego twarzy. Zamysłona i niepewna, co dalej, bezradnie głaskała jedwab.

- Mam cię błagać?

Omali nie jęknęła, słysząc bezbrzeżny chłód w jego głosie, i jej oczy wypełniły się łzami. Zamrugowała i zerknęła na niego. W jego oczach kryła się tylko pustka.

- Przepraszam - wyszeptała.

Wbiła wzrok w brodę Orlanda i próbowała zawiązać krawat, ale dudnienie w uszach sprawiło, że palce odmawiały jej posłuszeństwa. Czuła jego oddech na swoim czole i z przerażeniem usłyszała nagle własny jęk.

- Nie mogę...

Orlando zaklął i poczuła jego dłonie na swoich. Jego twarz wyglądała jak wykuta z kamienia. Oderwał jej rękę od krawatu.

- Zostaw to, poradzę sobie.

- Niby jak? - wykrzyknęła nagle, wściekła na siebie za swoją niezdarność, za emocjonalną głupotę. - Ja to zrobię, proszę, pozwól mi jeszcze raz to zrobić...

Nagle jego dłonie znalazły się na jej policzkach, jednak natychmiast ją puścił i zatopił palce w swoich włosach. Usłyszała jego pełne zniecierpliwienia westchnienie i serce ścisnęło się jej jeszcze bardziej. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że z jej gardła wydobył się stłumiony szloch.

- Płaczesz - powiedział nieoczekiwanie Orlando. - Dlaczego?

- Bo jestem kretynką. Nie zwracaj na mnie uwagi. - Nagle zaśmiała się nerwowo, z goryczą. - I po co ja to mówię, przecież i tak mnie nie zauważasz.

Natychmiast się do niej odwrócił. Jego oczy błyszczały, ale głos był przerażająco spokojny.

- Co dokładnie powiedziała ci Arabella?

Rachel zakryła usta ręką.

- Mówiła... Mówiła, żeby ci nic nie mówić.

Orlando znieruchomiał.

- Mogłem się domyślić. - Jego usta wykrzywiły się w dziwnym uśmiechu. - Dyskrecja nigdy nie była jej mocną stroną.

Rachel czuła się jak królik w reflektorach pędzącego auta. Twarz Orlanda nie zdradzała żadnych emocji, ale oczy błyszczały.

- To chyba dobrze... że wiem... - Cofnęła się, nie mogąc dłużej wytrzymać tej bliskości. - Byłam na krawędzi... bardzo blisko... zakochania się w tobie.

Podciągnęła sukienkę aż do kolan i tym razem naprawdę uciekła z pokoju.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Stojąc w holu pod portretem dziadka, Orlando wypił kieliszek szampana i sięgnął po następny.

Dom wypełniał się ludźmi. Robiło się coraz głośniejsze, goście krążyli po przepastnych pomieszczeniach Easton Hall. Wszystko wskazywało na to, że bal okaże się wielkim sukcesem.

Wśród tych ludzi Orlando czuł się jeszcze bardziej samotny niż zwykle. A do tego był wściekły na Arabelle. Pewnie wypaplała połowie Londynu, że bohaterski Orlando Winterton jest teraz kalekim i żalonym Orlandem.

Czego się jednak spodziewał? Zawsze była twarda i cyniczna, i nie liczyła się z uczuciami innych. Szczerze mówiąc, właśnie dlatego się nią zainteresował. Wydawała mu się pociągająca, całkiem inna od banalnych kobiet, które znał.

Najbardziej jednak zraniła go Rachel.

To chyba dobrze... że wiem... Byłam na krawędzi... bardzo blisko... zakochania się w tobie.

Byłam.

Nie jestem. Już nie, odkąd poznała prawdę.

Orlando odwrócił się i poszedł w kierunku wewnętrznego holu. Dom wyglądał wspaniale, i on mógł to dostrzec. Powinien poszukać Lucindy i jej podziękować. No tak, najpierw jednak musiałby ją rozpoznać - znali się od lat, ale bardzo dawno jej nie widział, a w domu przebywał teraz cały tłum eleganckich młodych blondynek.

Zatrzymał się w progu jadalni i wtedy przypadkowo podsłuchał rozmowę dwóch mężczyzn za sobą.

- Patrz na tę małą na schodach.

Drugi mężczyzna gwizdnął cicho.

- No proszę. Rude mnie zwykle nie ruszają, ale dla tej babki zrobię wyjątek. Patrz na jej...

Orlando zacisnął palce na kieliszku, czując przyływ adrenaliny. Co prawda pełnił tu obowiązki gospodarza, ale czy w związku z tym cios w szczękę jednego z gości byłby bardziej czy mniej na miejscu?

- Czy to nie jest ta dziewczyna z plakatów? Pianistka? Ma inną fryzurę, ale wszędzie bym ją poznał. W zeszłym roku jej wielkie plakaty wisały w metrze. Przez to miałem pewne problemy w drodze do pracy, sam rozumiesz...

Obaj mężczyźni wybuchnęli głośnym śmiechem. Orlando otworzył szeroko drzwi na podwórze i wyszedł na mróz. Poczł absurdalną satysfakcję, gdy jeden z tych dwóch mruknął:

- Jasna cholera, można zamarznąć!

Orlando zaczął spacerować wokół podwórza, żeby się uspokoić. Myślał o tym, że Lucinda zrobiła kawał dobrej roboty. To go autentycznie zdumiało, gdyż zupełnie się tego nie spodziewał. Wynajął ją tylko ze względu na dawną znajomość oraz fakt, że ostatnio jej firma ciężko przędła. Okazało się jednak, że wygrał los na loterii.

Przez chwilę głosy za nim były bardziej donośne, potem znowu zamarły.

- Orlando?

Rachel położyła dłoń na jego ramieniu; natychmiast zeszywniał, więc ją cofnęła.

- Szukałam cię. Chciałam przeprosić...

- Nie ma za co - przerwał jej natychmiast. - Przynajmniej byłaś szczerą.

- Ale nie powinnam. Nie powinnam była mówić nic o swoich uczuciach w sytuacji, gdy ty...

- Daruj sobie - wycedził.

Miał ją wyminąć, kiedy znowu poczuł na ramieniu jej długie silne palce pianistki. Zamarł, zastanawiając się, co dalej. Mimo wszystko nie chciał strącać jej ręki, ale bał się przepelniającej go wściekłości.

- Puść mnie, Rachel.

- Nie! Proszę, Orlando, pozwól mi wyjaśnić. Chodzi o Arabelle. Nie miałam szansy wcześniej dokończyć, powiedzieć ci, że...

- Nie chcę tego słyszeć! - Jego palce oplotły przegub Rachel jak kajdanki i brutalnie odepchnęły jej rękę.

Nie puścił jej jednak, chociaż próbowała ją wyrwać. W pewnej chwili opadła z sił, a wtedy przyciągnął ją do siebie, i nagle jego ręce błądziły po jej plecach, jego usta miażdżyły jej wargi.

Rachel zatopiła palce we włosach Orlando i oddała pocałunek. Nie było w nim czułości, tylko potrzeba zrodzona z rozpacz, frustracji, bólu i tęsknoty. Czują mur za sobą, zimny i mokry, i cieszyła się, że może się na nim oprzeć, bo nie dowierzała, że nogi zdołają ją utrzymać.

Po chwili poczuła jego rękę na swoim udzie.

No to co, że kochał Arabelle? No to co? Przecież był tutaj, z nią, to wszystko działo się naprawdę i tylko to się liczyło. Świat skurczył się do tej maleńkiej przestrzeni, w której ich oddechy były jednym oddechem.

Potrzebowała go. Pragnęła go.

Teraz.

Pomyślała, że jeśli nie dostanie go teraz, umrze.

Orlando jęknął, kiedy pieścił przycięte włosy na jej karku. Nagle odsunął głowę, a kiedy otworzyła oczy, ujrzała, że wpatrywał się w nią intensywnie, tak intensywnie, że fala pożądania zalała ją na nowo.

- Twoje włosy...

Nie dała mu dokończyć, tylko objęła jego twarz rękami i zmusiła go, żeby znowu ją pocałował. Jęknął i zrozumiała, że pragnął jej równie mocno jak ona jego.

- Boże drogi... - Głos kobiety był ostry jak brzytwa. - Myślałam, że to wiejski bal, a nie orgia.

Rachel poczuła, że Orlando sztywnieje i się prostuje. Natychmiast rozpoznała ten głos. Słyszała go dzisiaj rano, teraz jednak nie słyhać w nim było troski, jedynie zjadliwość. Popatrzyła na wysoką blondynkę stojącą w drzwiach.

- Arabella?

Orlando stanął przed Rachel, zasłaniając ją przed bazyliżkowatym spojrzeniem blondynki.

- Mówiłam ci, że przyjadę - powiedziała kobieta, cedząc słowa. - Znasz mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie rzucam słów na wiatr. Pewnie mam szczęście, że pojawiając się w trakcie balu, bo ktoś raczył mnie wpuścić. Ty najwyraźniej byłeś zbyt zajęty. - Z pogardliwą miną odrzuciła włosy. - Pozwoliłam sobie zostawić moje rzeczy w bibliotece i zrobić sobie drinka. Rozumiem, że nie masz nic przeciwko temu?

- Mam. Mówiłem ci, żebyś się trzymała z daleka ode mnie, prawda?

- Mówiłeś - przytaknęła.

Rachel, niemal skulona pod ścianą, uświadomiła sobie, że kobieta dobrze się bawi. Arabella triumfowała - powróciła tu i żądała praw do swojego mężczyzny. Mogła tylko wyobrazić sobie jej zwycięski uśmiech, gdyż szerokie ramiona Orlanda zasłaniały jej widok. Zacisnęła pięści, żeby się uspokoić, tak bardzo chciała się do niego przytulić. Nagle jednak uświadomiła sobie, dlaczego stał w takiej pozycji.

Wcale nie osłaniał jej przed Arabellą, tylko ją ukrywał. Wstydził się jej.

- Zdradzę ci nowinę, chcesz, kochanie? Wintertonowie to już nie rasa bogów, jak kiedyś - ciągnęła Arabella. - Rzeczy dzieją się poza twoją wolą, czy ci się to podoba czy nie.

Kiedy mówiła, zrobił krok w jej kierunku. Rachel zamknęła oczy, żeby nie widzieć ich powitania.

- Czego chcesz, Arabello?

- Chcę ci coś pokazać - oznajmiła rzeczowo. - O mój Boże, niezbyt taktownie to ujęłam... Wybacz, skarbie. Zresztą na pewno mi wybaczysz, kiedy przekonasz się, co to takiego. Jest w bibliotece...

Po tych słowach odwróciła się i zniknęła w domu.

Przez chwilę Orlando nie ruszał się z miejsca.

Nagle jednak uniósł głowę i popatrzył na Rachel.

- Idź - wychrypiała. - Idź. Właśnie to mi powiedziała przez telefon. Tego miałam ci nie powtarzać. Usiłowałam to wyjaśnić...

Pokręcił głową, marszcząc brwi.

- Co?

- Powiedziała, że się zjawi... Spotka z tobą. Chce cię odzyskać. Prosiła, żebym ci nie mówiła.

- Chryste, Rachel... Wszystko pokręciłem, myślałem... - Znowu przejechał palcami przez włosy i zrobił krok w jej kierunku.

Rachel ostrzegawczo uniosła rękę.

- Nieważne, nic mi nie jest. Idź do niej.

Udało się jej to powiedzieć. Jednak nie była w stanie patrzeć, jak on odwraca się i odchodzi.

- Wybacz, że odrywam cię od gości - wycedziła Arabella. Stała w bibliotece, przy biurku Orlando. - Chociaż trzeba przyznać, że przesadnie się nimi nie interesowałeś. Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczona odkryciem,

że nie straciłeś swojego uroku, drogi Orlando. Jak zawsze władczy i atrakcyjny. Jestem zachwycona.

- Doprawdy? Ciekawe, dlaczego to cię interesuje, skoro już nic nas nie łączy.

Arabella parsknęła pozbawionym wesołości śmiechem.

- Skarbie, nawet nie masz pojęcia, jak ironicznie zabrzmiał twój komentarz. Zaraz się przekonasz.

Umilkła, po czym cofnęła się za biurko i schyliła, a Orlando przechylił głowę, usiłując zobaczyć, co takiego trzymała w rękach. To coś było dość duże i podłużne.

- Proszę. - Z głuchym stuknięciem położyła to na biurku. - Oto powód, dla którego się zjawiłam, skarbie. Teraz widzisz?

W jej głosie słyszał jad i poczuł prawdziwą nienawiść.

- Nie, Arabello, nie widzę - odparł cicho. - O czym doskonale wiesz.

- Szczerze mówiąc, wcale nie wiem. Wiem tylko, co mówili lekarze, i myślałam, że zastanę tu bezradnego inwalidę. - Była zirytowana, wręcz rozczarowana tym, że jej oczekiwania się nie spełniły. - Wydajesz się jednak zupełnie zwyczajny. Na pewno ta panna nikt, którą obmacywałeś na podwórzu, zgodziłaby się ze mną. Zakładam, że ona nic nie wie?

- To nie twoja sprawa.

- Przecież to jasne, że nie wie, inaczej nie patrzyłaby na ciebie w taki sposób. Dla niej jesteś księciem z bajki. Na twoim miejscu nie wyprowadzałabym jej z błędu - poinformowanie jej, że bohater ma wady, to jak powiedzenie dziecku, że święty Mikołaj nie istnieje.

Orlando odwrócił się i sięgnął do klamki. Czuł, że jeśli dłużej zostanie w tym samym pomieszczeniu co Arabella, ani dobre wychowanie, ani

cierpliwość nie powstrzymają go przed daniem jej nauczki. Chciał jak najszybciej wrócić do Rachel, ale znieruchomiał na moment i zapytał cicho:

- Nie wiem, po co przyjechałaś, Arabello, ale szkoda twojego czasu. Nic, co powiesz, nie mogłoby...

Urwał nagle, a jego ręka zamarła, kiedy z okolicy biurka usłyszał cienki pisk.

- Nic? - powtórzyła Arabella z satysfakcją w głosie. - A może podejdziesz i zechcesz poznać swojego syna?

Na korytarzu Rachel rozglądała się bezradnie. Jej usta były spuchnięte od pocałunków Orlanda, włosy zmierzwiłone. Przepychała się przez tłum, ignorując komentarze i pogwizdywania mężczyzn. Zmierzała prosto do biblioteki, żeby przekonać się, co się dzieje.

Jej obcasy stuknęły na marmurowej posadzce, gdy szła ku uchylonym drzwiom. Widziała Orlanda z ręką na klamce, ale nagle dobiegł ją głos Arabelli.

- Może podejdziesz i zechcesz poznać swojego syna...

Rachel zamarła. Z tej odległości widziała twarz Arabelli. To była twarz szachowego mistrza, który właśnie wypowiedział słowa „szach mat”.

W tej samej chwili Orlando zamknął drzwi. Nie pozostało jej nic innego, jak zejść na dół.

- Jest moje?

Arabella prychnęła z oburzeniem.

- Gdybyś widział, nie musiałbyś pytać. To stuprocentowy Winterton. Gdyby było inaczej, moje życie nie rozpadłoby się na kawałki.

Orlando powoli podszedł do okna, nadal utrzymując jak największy dystans do Arabelli. I do dziecka.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

- Jamie mnie wyrzucił - odparła głucho. - Myślałam, że dziecko jest jego, ale Jamie wygląda dokładnie tak jak jego skandynawscy krewni, a dziecko, hm, zupełnie inaczej.

- Chyba mogłaś się tego domyślić po datach? - Orlando zazgrzytał zębami.

Arabella nigdy nie pozostawiała niczego przypadkowi.

Usłyszał jej westchnienie.

- To się musiało zdarzyć pod sam koniec naszego związku. Kiedy się dowiedziałeś o diagnozie. Felix był wtedy w domu... - Na chwilę jej głos odplynał, ale potem stwardniał: - To były dla mnie okropne chwile, nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam z nikim pogadać...

- Biedactwo - wycedził Orlando z pogardą.

- To było piekło! Ty w ogóle ze mną nie rozmawiałeś, po prostu odwróciłeś się do mnie plecami!

- Zabawne, że ja pamiętam to zupełnie inaczej - oznajmił Orlando lodowato. - Kiedy powtórzyłem ci słowa Parkesa, wybiegłaś z pokoju, a po południu wróciłaś do Londynu na jakieś przyjęcie. - Nagle zaklął cicho. - Mój Boże, cóż za zbieg okoliczności. To było przyjęcie u Jamiego van Hartesvelta...

- Byłam w szoku... Załamana... Chyba możesz to zrozumieć?

Potrzebowałam przestrzeni, żeby wszystko sobie przemyśleć, żeby się dostosować. Nagle nie byłeś już tym samym mężczyzną, w którym się zakochałam. A kiedy wróciłam następnego dnia, ledwie mnie zauważyłaś. Gdyby nie Felix, nie wiem, jak dałabym sobie radę... - Przez chwilę milczała, po czym bardzo cicho oznajmiła: - Felix był dla mnie dobry.

- No jasne, że był! Przecież wygrał. Przez całe życie ze sobą rywalizowaliśmy, i nagle było już po wszystkim. Zostałem wyeliminowany z gry. On wygrał, więc mógł sobie pozwolić na okazywanie ci cholernej dobroci.

- To nie tak, Orlando! On też był załamany. Tak bardzo cię podziwiał i myślał o tym, że jesteś osłabiony, okaleczony, była dla niego nieznośna. Wcale się nie zdziwiłam na wieść o jego śmierci. Nie powinien był latać. Za bardzo go to wszystko przytłaczało.

- Na litość boską, daruj sobie wpędzanie mnie w poczucie winy! Co, teraz mam uwierzyć, że Felix zmarł przez moją żenującą, samolubną słabość? Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że i tak fatalnie się czuję ze świadomością, że choroba postępuje, a Felix stracił życie? Musisz mi jeszcze wmawiać, że to moja wina? Nie sądzisz, że w mgnieniu oka zamieniłbym się z nim miejscami, gdybym tylko miał taką możliwość? Jedyne, co pozwala mi to znieść, to świadomość, że gdziekolwiek teraz jest, wygrał. Do końca świata będzie bohaterem, na litość boską!

Uniosła głowę, ale Orlando na szczęście nie widział jej okrutnej, triumfującej miny.

- O tak - powiedziała cicho. - To cię niszczy, prawda, Orlando? Felix zginął jak bohater, a ty żyjesz i wiedzisz życie pustelnika. Pewnie czujesz się zawiedziony, co, skarbie? Felix będzie modelowym stryjkiem dla twojego syna, także i jego bohaterem. Dlatego mały też dostał imię na jego cześć. Poznaj Felixa.

Orlando czuł, że cała krew odpływa mu z twarzy. W pokoju zrobiło się nagle bardzo cicho, odgłosy przyjęcia zdawały się dobiegać z jakiegoś równoległego wszechświata, a nie zza zamkniętych drzwi.

W końcu Orlando odzyskał głos.

- Dlaczego?

- Bo zrobiłam wszystko, żebyś mnie kochał - syknęła Arabella z wściekłością. - Byłam idealna. Doskonała. Nie masz pojęcia, jaki to koszmarny wysiłek, być ideałem przez cały czas, a jednak to nie wystarczyło. Nie kochałeś mnie, nie potrzebowałeś. Miałeś wszystko, ja byłam tylko dodatkiem. Ale kiedy byliśmy razem, nauczyłam się ciebie rozumieć i wiedziałam, że jedyną osobą, która mogła trafić do twojego lodowatego serca, był Felix. Kochałeś go, ale i nienawidziłeś.

Musiał jej przyznać, że była mistrzynią zadawania bólu. Miała rację, rzeczywiście jej nie doceniał. Dopilnowała, w subtelny, bolesny sposób, żeby Orlando nigdy, przenigdy nie zapomniał o zwycięstwie Felixa, o jego bohaterstwie i własnej słabości

- Dobra robota - powiedział głucho. - Wygląda na to, że ty też wygrałaś. I co dalej?

- Niczego nie wygrałam, do cholery. Wszystko straciłam, Orlando. To zniszczyło moje życie, karierę, związek, ciało, na litość boską! - Spacerowała po pomieszczeniu, energicznie, zbyt energicznie potrząsając zawiniątkiem na rękach. - Całe to rodzicielstwo jest trudniejsze, niż się wydaje. Zero snu, zero imprez. Brakuje nawet czasu na kąpiel, rozmowę przez telefon albo zakupy. Duszę się. Wszyscy ciągle mi zabraniają pić i palić - jakbym jeszcze za mało poświęciła temu dziecku!

Orlando czuł, że zaczyna się pocić, gdy tak słuchał tej ponurej opowieści o pierwszych tygodniach życia dziecka. Zrobił krok w jej kierunku, z rękami w kieszeniach, żeby nie widziała jego zaciśniętych pięści, ale Arabella była zbyt skupiona na sobie, żeby cokolwiek zauważyć.

W jej głosie pobrzmiwała histeria.

- Nie zniosę tego dłużej, Orlando. Muszę sobie zrobić przerwę. Jadę do Paryża, a dziecko zostawiam tobie!

- Chłopiec czy dziewczynka? - szepnęła Rachel. Po rozmowie z Arabellą Orlando wszedł do salonu pełnego ludzi, odnalazł ją i poprosił - a właściwie zmusił - do tańca.

- Chłopiec - odparł. - Ma dziesięć tygodni.

- Jak ma na imię?

Orlando mocno zacisnął palce na jej dłoni i na moment przymknął oczy.

- Felix.

Rachel przez chwilę milczała.

- Twój brat byłby zadowolony, prawda? - powiedziała w końcu.

- O tak. - Orlando zaśmiał się gorzko. - Niestychanie zadowolony.

- Gratuluję.

- Nie. - Pokręcił głową. - Nie mów tak. Nie ma czego gratulować.

- Dlaczego? - Rachel była autentycznie zaskoczona. - Przecież masz dziecko...

- To Arabella twierdzi, że jest moje.

Zawsze był bardzo ostrożny. Zawsze.

Ale nie wczoraj.

Rachel powoli pokręciła głową.

- Nie, nie kłamałaby w takiej sprawie, Orlando. Nie w dzisiejszych czasach, kiedy wszystko da się sprawdzić badaniami DNA. Po prostu jesteś w szoku. Kto by nie był? Musisz jej uwierzyć. Nie wolno ci odbierać dziecku dobrego ojca, ono w niczym nie zawiniło.

Żadne z nich się nie ruszało. Orlando z kamienną miną wpatrywał się w przestrzeń.

- Masz rację - powiedział w końcu, odrywając rękę od jej pleców. -
Dziękuję za radę.

Odwrócił się i wyszedł z salonu. Czuł się tak, jakby Rachel wbiła mu zardzewiały gwoźdź w serce.

Naturalnie miała rację. Mały Felix zasłużył na dobrego ojca. I właśnie dlatego Orlando musiał trzymać się od niego z daleka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bal się kończył.

Orlando uświadomił sobie, że jednak nie podziękował Lucindzie, ale miał ważniejsze sprawy na głowie.

Swojego syna.

Arabella nie umiałaby się zająć nawet rybką, a co dopiero niemowlęciem. Musiał się zgodzić na jej plan. Felix miał pozostać w Easton, dopóki Arabella się nie pozbiera. Znając ją, Orlando był pewien, że już wkrótce znajdzie sobie nowego partnera. Mógł mieć tylko nadzieję, że to będzie ktoś przyzwoity, ktoś, kto zajmie się Felixem, zagra z nim w piłkę, nauczy go karcianych sztuczek i będzie mu czytał książki. Ktoś, kto będzie dla niego takim ojcem, jakim nie mógł być Orlando.

Oczywiście, zamierzał zadbać o syna - płacić alimenty, uwzględnić go w testamencie, dopilnować, by miał najlepszą opiekę medyczną i doskonałe wykształcenie. To wszystko jednak zamierzał robić z dużej odległości. Felix nigdy nie pozna swojego ślepego ojca.

Kiedy Rachel kładła się do łóżka, czuła, że boli ją każda kość w ciele. Zgasiła światło i czekała na sen, nie chciał jednak nadejść.

Nie miała pojęcia, która była godzina, kiedy nagle usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi.

- Rachel?.

To był głos Orlanda. Wbrew sobie poczuła nagły przypływ nieracjonalnej nadziei.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Nadzieja natychmiast wyparowała.

- Oczywiście. - Podniosła się z łóżka. Nie uszło jej uwagi, że Orlando cofnął się, żeby ją przepuścić i przypadkiem jej nie dotknąć. Przełknęła upokorzenie i uniosła głowę. - Co się stało?

Gdy szli, usłyszała płacz dziecka. Orlando zaprowadził ją pod drzwi pokoju mniej więcej w połowie korytarza. Zawahał się, jakby przygotowując na to, co zastanie w środku, i otworzył je.

W pokoju paliło się światło i Rachel zamrugła na widok koszmarnego bałaganu. Ominęła leżące na podłodze rzeczy, które niewątpliwie należały do Arabelli - obcisłe czarne spodnie, cienki szyfonowy top oraz wysokie buty na obcasach. Z wysiłkiem oderwała wzrok od masy blond włosów i skupiła uwagę na drobnej czerwonej twarzy dziecka leżącego obok zupełnie obojętnej na jego wrzaski Arabelli.

Stała bezradnie, nie mając pojęcia, co robić. Krzyki stawały się coraz bardziej natarczywe. W panice popatrzyła na Orlanda. Opierał się o drzwi, z odchylną głową i całkowicie obojętnym wyrazem twarzy, zupełnie jakby zamienił się w kamień.

Rachel otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nic się z nich nie wydobyło. Bez zastanowienia podeszła, wzięła dziecko na ręce i zaczęła je kołysać.

- Ci... cichutko...

O dziwo, krzyki ustały. Rachel jeszcze nigdy nie widziała dziecka z tak niewielkiej odległości, więc nie mogła przestać się w nie wpatrywać. Było piękne.

- Bogu dzięki - usłyszała nagle lodowaty głos Orlanda i uśmiech zamarł na jej twarzy.

- Ty draniu... - wysyczała. - Tak bardzo ci się spieszyło do łóżka z nią... - rzuciła Arabelli pełne pogardy spojrzenie - że zupełnie zapomniałeś o dziecku. Jak mogłeś? Jak mogłeś?!

Orlando zrobił krok w jej kierunku. Rachel opacznie zrozumiała całą sytuację, ale wyjaśnianie jej tego nie miało sensu.

- Z trudem, przyznaję - odparł chłodno. - Bo strasznie się wydzierało.

- Chciał na ręce! Pewnie jest też głodny. Przyszło ci to do głowy? Albo jej? - Wskazała palcem butelkę szampana, którą Arabella musiała przynieść tu z jadalni. - Tylko takie butelki ją interesują?

- Obawiam się, że tak. - Orlando podniósł z ziemi dużą skórzaną torbę. - Mleko i butelki zapewne są tutaj, tak jak pieluchy. Możesz się tym zająć? Mam coś ważnego do zrobienia.

- Ważnego? - powtórzyła cicho, biorąc od niego torbę. - Ważnego? Cholera, Orlando, naprawdę mnie zadziwiasz. Myślałam, że jesteś... - Z trudem zarzuciła torbę na ramię, usiłując nie zaniepokoić dziecka. - A zresztą to, co myślałam, nie ma żadnego znaczenia. Widzę, że nie mogłam się bardziej mylić. Nie zasłużyłeś na to dziecko. Masz serce z kamienia.

Wyszła z pokoju, a kiedy cicho zamknęła za sobą drzwi, Orlando podszedł do okna i kątem oka popatrzył na podwórze. Czuł narastającą panikę i rozpacz - dopadły go z zaskoczenia, dławiliły gardło tak, że miał trudności z oddychaniem.

Co do jednego miała rację. Nie zasłużył na dziecko. Niby jak miałby mu przygotować mleko, jak miałby zanieść na dół swojego maleńkiego syna? Myliła się jednak w kwestii jego kamiennego serca. Orlando bardzo żałował, że go nie ma - wtedy życie byłoby znacznie łatwiejsze.

Różowawe światło porannego słońca padało na pokryte śniegiem trawniki i z wahaniem zaglądało do pogrążonej w półmroku kuchni. Siedząca na niewygodnym krześle Rachel walczyła z obezwładniającą sennością, podczas gdy Felix spał spokojnie w jej ramionach.

Poczuła, że jej głowa opada do tyłu. Nie mogła myśleć o niczym poza tym, że Orlando rozbiera ją w świetle księżyca, a jego palce dotykają jej twarzy, włosów, skóry...

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak on idzie przed nią przez ciemny korytarz, dotykając ściany, całkiem jak...

Poderwała głowę i szeroko otworzyła oczy.

Orlando wszedł do kuchni i skierował się prosto do czajnika, po czym syknął głośno, gdy dotknął gorącego metalu. Odwrócił się na pięcie.

Rachel siedziała na krześle u szczytu długiego stołu. Udało mu się zobaczyć, że miała podkulone kolana. Nie był w stanie powiedzieć, czy spała, nigdzie nie widział też dziecka.

Ruszył w jej kierunku, a ona w tej samej chwili uniosła głowę. Nie widział jej twarzy, domyślał się jednak, że patrzy na niego z pogardą.

- Powinnaś spać - burknął.

Przez chwilę milczała, po czym usłyszała jej westchnienie.

- Tak - powiedziała, starając się zapanować nad gniewem. - Tak, powinnam spać. W łóżku. Bardzo bym chciała, niestety, ten przywilej zarezerwowany jest dla ciebie i Arabelli.

Orlando wrócił do czajnika. On również nie spał, ale nie zamierzał jej tego mówić. Przez całą noc zajmował się pracą, a do tego jeszcze nad ranem skonsultował się z dawnym przyjacielem z RAF-u, lekarzem, który potwierdził jego przypuszczenia, że Arabella najprawdopodobniej cierpi na depresję poporodową i najlepiej będzie, jeśli na pewien czas rozstanie się z dzieckiem.

- Gdzie ono jest? - zapytał tylko, stawiając czajnik na gazie.

- Tu - oznajmiła z lekceważeniem, jakby tylko ślepy mógł tego nie zauważyć.

To by się zgadzało, pomyślał ponuro.

Zauważył kątem oka, że opuściła nogi na podłogę. Dziecko leżało na jej kolanach i Orlando zrozumiał, że Rachel spędziła tę noc na krześle. Była bosa i miała na sobie tę samą koszulę, którą z niej zerwał dwie noce wcześniej. Jego serce zabiło mocniej, przepełnione wstydem, wdzięcznością i innymi emocjami, których chwilowo nie miał najmniejszej ochoty analizować.

Rachel wstała z dzieckiem w ramionach. Orlando pomyślał, że bez wątpienia bardzo zmarzła.

- Dlaczego nie wróciłaś do łóżka? - zapytał. - Przecież on śpi, prawda?

- Słucham? - Parsknęła pełnym niedowierzania śmiechem. - A co miałam zrobić z twoim synem? Gdzie go odłożyć? Kazałeś mi się nim zająć, a ja to zrobiłam - chociaż wierz mi, że nie zgodziłabym się tak szybko, gdybym wiedziała, że potrwa to pół nocy! Idiotka, myślałam, że kiedy już się sobą nacieszycie, któreś z was przyjdzie po dziecko!

Orlando obdarzył ją lodowatym uśmiechem.

- Przepraszam. Pozostawienie cię z nim na tak długo rzeczywiście było niewskazane.

- Żebyś wiedział! Nie znam się na dzieciach, nigdy się żadnym nie zajmowałam, nie wiem, co robić...

- Najwyraźniej jemu to nie przeszkadza. - Orlando wskazał głową śpiącego Felixa, po czym odwrócił się pośpiesznie, czując dławiący ucisk w gardle.

- Jest cudowny - powiedziała Rachel cicho. - Tym paskudniejsze wydaje mi się twoje zachowanie. Co do Arabelli...

- Źle z nią - przerwał jej Orlando.

- Jak to?

- Depresja poporodowa. Jest całkowicie niezdolna do opieki nad dzieckiem. - Resztki lojalności nie pozwoliły mu dodać, że nawet zdrowa Arabella ma takie podejście do dzieci, jakie normalny człowiek do szczurów w kanałach. - Fatalnie się czuje. Mężczyzna, z którym mieszkała, wyrzucił ją, bo podejrzewa, że dziecko nie jest jego.

- Na litość boską, musiałby być ślepym idiotą, gdyby tego nie zauważył - warknęła Rachel. - Popatrz na niego, Orlando. Tylko na niego popatrz! - Ostrożnie wyciągnęła ku niemu ręce, na których trzymała dziecko. - To twój syn. Naprawdę tego nie widzisz?

Nie umiała, a być może nawet nie chciała ukryć pogardy w swoim głosie.

- Nie - odparł bardzo cicho. - Nie, cholera jasna, nie widzę.

Zapadła cisza. Orlando niemal słyszał bicie swojego serca.

Co ja zrobiłem? - pomyślał. Co ja zrobiłem? Powiedziałem jej.

Powiedziałem jej, że nie widzę. Po prostu wspaniale.

Musiał natychmiast coś zrobić. Z lekceważącą miną popatrzył na dziecko.

- Szczerze mówiąc, nie dostrzegam żadnego podobieństwa - wycedził. - Na przykład jestem od niego o wiele wyższy. Zresztą w tej chwili nie to jest istotne, tylko to, że Arabella potrzebuje odpoczynku. Chce wyjechać do

Paryża, do jakiegoś prywatnego sanatorium, co oznacza, że ja zostanę z dzieckiem.

- Hm. Czy masz na myśli, że to ja zostanę z dzieckiem?

Popatrzył na nią, tam, gdzie jak miał nadzieję, znajdowały się jej oczy.

- Otóż wyobraź sobie, że do tego zmierzałem. - Wypowiedzenie tego zdania bez odrobiny emocji w głosie kosztowało go wiele.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W następnym tygodniu spadło jeszcze więcej śniegu. W ciągu tych kilku okropnych dni Rachel pytała samą siebie mniej więcej tysiąc razy, co ją podkusiło, że została i zajęła się Felixem. Miała wiele powodów, żeby odmówić - a pierwszy i najważniejszy był taki, że nic nie wiedziała o opiece nad dziećmi.

Pochyliła się nad wózkiem i popatrzyła na chłopca. Spał spokojnie, najwyraźniej wyczerpany stresującą nocą.

Nie on jeden, pomyślała Rachel. Po pięciu zarwanych nocach kręciło się jej w głowie i odczuwała zmęczenie każdą tkanką ciała, ale i tak zrywała się na najcichszy krzyk małego. Czuła się tak, jakby wylądowała w środku amazońskiej puszczy bez mapy i kompasu. Fakt, że nawet nie umiałaby się nimi posłużyć, nie był w tej sytuacji istotny. Najgorsze było poczucie osamotnienia.

Od wyjazdu Arabelli Orlando starannie unikał Rachel i dziecka. Mimo wszystko bardzo ją to bolało i nie mogła zrozumieć, dlaczego nie chciał nawet poznać syna. Najgorsze było to, że wcześniej uważała go za całkiem innego człowieka.

Dzięki niemu zaczęła wierzyć, że nie wszyscy mężczyźni są takimi draniami jak Carlos albo jej ojciec, że bohaterowie nadal istnieją.

Bardzo się pomyliła.

Ze smutkiem poprawiła kocyk, którym owinięty był Felix, i delikatnie pogłaskała go po różowym policzku.

Był bardzo rozpalony. Natychmiast pomyślała o Lucindzie i o tym, jak szybko zaatakował ją wirus. Grypa mogła zabić dziecko.

Czyżby Felix się zaraził?

Zrobiła krok do tyłu, oddychając powoli i próbując się uspokoić. Na pewno nie miał grypy, przecież Lucinda zniknęła przed przybyciem Arabelli. Pewnie wydawał się taki rozpalony, bo ona miała przemarzniete ręce.

Tak czy owak, popchnęła wózek w kierunku domu. Felix spał dziś dłużej niż zwykle, ale złożyła to na karb źle przespanej nocy. Wczoraj wieczorem bawili się dłużej, pewnie dlatego był taki senny. Na pewno nie zachorował. Na pewno...

Wjechała z wózkiem do kuchni. Poza niezdrowym rumieńcem Felix wyglądał tak jak zawsze, oddychał normalnie i głęboko spał. Gdyby był chory, na pewno by płakał, prawda?

Jeszcze raz dotknęła czoła dziecka. Było rozpalone, więc delikatnie potrząsnęła małym, żeby go obudzić, jednak jego powieki pozostały zamknięte.

- O Boże - jęknęła.

Przytuliła dziecko do siebie.

- Orlando, Orlando!

Gwałtownie przebudzony Felix natychmiast zaczął wrzeszczeć, czerwony z wściekłości. Rachel położyła go na stole i drżącymi rękami rozpięła mu

ubranko. Musiała dokładnie go obejrzyć, ale mały zeszywniał ze złości i trudno jej było zdjąć z niego śpioszki.

- Orlando! - Naprawdę był rozpalony.

Podniosła go i przytuliła do siebie, machinalnie kołyszając. Panika uniemożliwiła jej trzeźwe myślenie.

- Co się stało?

Kiedy zobaczyła go w progu kuchni, omal nie krzyknęła z ulgi. Podeszedł do niej.

- Sama nie wiem... - wyjąkała. - Chodzi o Felixa, coś mu jest. Ma gorączkę, nie chce przestać krzyczeć i... - Słyszała histerię w swoim głosie, ale nie była w stanie nad nią zapanować.

Jednym płynnym ruchem Orlando otoczył syna wielkimi dłońmi. Przez moment trzymał go w wyciągniętych rękach, ale kiedy dziecko nadal krzyczało, zaczął je kołysać.

Felix zamrugnął, czknął, po czym przestał płakać i zapatrzył się na ojca. Po chwili ciemny rumieniec zaczął znikać z jego twarzy, spojrzenie było jasne i czyste. Rachel czuła się jak intruz i podglądaczka, ale nie mogła oderwać od nich wzroku.

Nagle ku jej nieopisanej radości Felix się uśmiechnął. Rachel zakryła usta rękami, niepewna, czy się roześmiać czy rozplakać ze wzruszenia. Strach, zmęczenie i frustracja odpłynęły w niepamięć.

- Uśmiechnął się - wyszeptała z niedowierzaniem. - Orlando, on się naprawdę uśmiechnął.

Popatrzyła na niego i cała radość wyparowała. Twarz Orlando była jak zwykle nieruchoma i pozbawiona jakichkolwiek emocji.

- Czyli nic mu nie jest - powiedział tylko i bezceremonialnie wręczył jej Felixa. - Skoro kryzys został zażegnany, mogę wrócić do pracy?

Był już na środku kuchni, kiedy Rachel odzyskała głos.

- Ty... Ty... Uśmiechnął się, rozumiesz? To był jego pierwszy uśmiech! Orlando nawet nie mrugnął.

- Nie jestem zdumiony. Dotąd chyba nie miał się z czego cieszyć, nie sądzisz?

Rachel jęknęła.

- To nic dla ciebie nie znaczy, prawda? Jesteś tak skoncentrowany na sobie, że nie widzisz tego, co masz przed nosem!

Orlando uśmiechnął się niewesoło.

- Interesujące. Kontynuuj, proszę.

Rachel wysunęła brodę i popatrzyła na niego z rozpaczą.

- Zawodzisz go, Orlando. Z każdym mijającym dniem zawodzisz go coraz bardziej, a ja nie zamierzam stać i beczynnie na to patrzeć. On cię potrzebuje, zrozum!

- Wobec tego może będziesz tak uprzejma i porozmawiasz z szefem obrony USA o procedurach bezpieczeństwa, a ja się zajmę zmianą pieluszek? - Orlando mówił z lodowatą grzecznością, ale było jasne, że kryje się pod nią wściekłość. Rachel jednak była zmęczona i zbyt dotknięta, żeby przejmować się ewentualnym niebezpieczeństwem.

- Procedury bezpieczeństwa? - powtórzyła z pogardą. - Oszczędź mi tego. Możesz na kilka dni zapomnieć o ratowaniu świata i pomyśleć o bezpieczeństwie własnego syna? Jemu nie potrzeba superbohatera, tylko ojca!

- Rozumiem. Czy to wszystko?

Nagle jego absolutna obojętność stała się nie do zniesienia. Rachel poczuła się tak, jakby pękła w niej tama, a frustracja, niepokój, gniew i tęsknota z zeszłego tygodnia wylały się wielką falą.

- Nie - wycedziła pobladłymi ustami. - Skoro raczyłeś zapytać, to wiedz, że to nie wszystko! Powiedziałeś, że brak mi odwagi, a ja uczyłam się od ciebie i przestałam być tchórzem. Dlatego teraz mogę ci to powiedzieć prosto w oczy: jesteś tchórzem, Orlando. Może i byłeś dzielnym pilotem, może i codziennie ryzykowałeś życie w służbie dla kraju, ale tylko i wyłącznie po to, żeby pozować na bohatera, bo dzięki temu dziewczyny pokroju Arabelli pchały się do ciebie drzwiami i oknami. Nic w tym złego, skoro ci to odpowiadało. Pora jednak wydorosnąć. Tak naprawdę teraz zaczyna się prawdziwe bohaterstwo - to ciężka, niewdzięczna praca i oznacza, że nie będziesz się wysypiał i nie będziesz miał przygód na jedną noc. Musisz jednak być wzorem dla swojego syna.

Orlando patrzył na nią z przechyloną głową. Wyraz jego twarzy nie zmienił się nawet na jotę.

- To dopiero mowa - mruknął drwiąco. - Widzę, że poświęciłaś sporo czasu na rozpoznanie moich rozlicznych wad. Czy słusznie zakładam, że twoja jakże dokładna analiza wykazała brak jakichkolwiek cech pozytywnych?

Popatrzyła na niego oczami pełnymi łez.

- Gdybyś zadał mi to pytanie tydzień temu, odpowiedź byłaby całkiem inna. Myślałam, że jesteś najbardziej niezwykłym, najsilniejszym i najodważniejszym człowiekiem. Widzę jednak, że wzięłam chłód emocjonalny za siłę.

Pokiwał głową.

- W takim razie dobrze się składa, że zacząłem szukać stałej opieki dla Felixa - poinformował ją. - Na pewno będziesz zachwycona, że rozmawiałem z agencją i w poniedziałek kogoś tu przyślą.

Rachel cofnęła się o krok, jakby ją spoliczkował, i szeroko otworzyła oczy.

- Nie!

- Tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

Odwrócił się na pięcie, żeby wyjść, ale zagroziła mu drogę.

- Orlando, nie rób tego! I tak było już za dużo zmian w jego życiu.

Przywykł do mnie, a ja... A ja do niego. - Doskonale zdawała sobie sprawę, że mówi błagalnym tonem, ale była zbyt wstrząśnięta, żeby zwracać na to uwagę.

Myśl o opuszczeniu Felixa była nieznośna. Rachel odruchowo wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Orlanda.

To był bardzo, ale to bardzo zły pomysł. Gdy jej palce musnęły jego skórę, omal nie zemdląła.

- Dawał sobie radę bez ciebie wcześniej, da sobie i teraz.

Rachel czuła się tak, jakby błagała o życie.

- Naprawdę dobrze sobie teraz radzę. Zajmuję się Felixem równie sprawnie, jak zawodowa opiekunka. To był trudny tydzień, ale najgorsze jest już za nami, i wiele się nauczyłam, zwłaszcza jeśli weźmiesz pod uwagę, jaką byłam oferą...

Urwała i popatrzyła na niego z niepokojem, nagle świadoma paskudnego smrodu palonego plastiku, który wydobywał się z piekarnika. Orlando zaklął szpetnie i otworzył drzwiczki, zza których buchnął czarny dym.

- Pizza! - wrzasnęła Rachel. - Ale przecież na pewno jeszcze nie jest gotowa.

Chwyciła za ścierkę i wyciągnęła pizzę z piekarnika. Stopiony plastik, który zapomniała usunąć, ściekał na plastikową podkładkę pod pizzą. Rachel bez słowa wyrzuciła ją do kosza.

Kiedy się odwracała, dostrzegła triumfalny uśmiezek na twarzy Orlanda.

- Na czym stanęliśmy?

Będzie lepiej, jeśli Rachel odejdzie, pomyślał Orlando ponuro. Felix przyzwyczai się do kogoś innego, kto nie będzie piekł pizzy w plastiku i bez przerwy rzucał oskarżeniami, nie znając faktów. Kogoś, kto nie będzie grał Chopina w środku nocy. Pomógł jej, pozwalając tu zostać; teraz zamierzał jej pomóc, pozwalając odejść. Felix zapomni. To jego ojciec jest skazany, by pamiętać o niej przez całe życie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rachel marzyła o długiej kąpieli w pachnących olejkach, żeby ukoić nerwy, ale nie miała na to czasu, lada chwila powinna zacząć przygotowania do kolacji. Wcześniej pojechała z dzieckiem do wioski, żeby uzupełnić zapasy, i odkryła, że na głównej ulicy mieści się słynny, często opisywany w gazetach lokalny sklep mięsny. Właśnie na jego widok postanowiła udowodnić Orlandowi, że nie jest oferumą, i przyrzadzić coś prostego, a jednocześnie olśniewającego. Rzeźnik polecił jej kaczkę i opisał krok po kroku, co ma robić. Chciała najpierw położyć Felixa, a dopiero potem zająć się gotowaniem.

W ostatniej chwili doszła do wniosku, że wykąpie się razem z małym. Kiedy siedzieli w wannie, zastanawiała się, dokąd pójdzie, jeśli będzie zmuszona opuścić Easton Hall. Jej dawne życie wydawało się teraz odległe i równie nierzeczywiste jak śnieg w środku lata.

Nagle przypomniało się jej, że koncert, który zaplanowano pod koniec jej miodowego miesiąca, miał się odbyć już za dwa dni. Myjąc plecy dziecka, pomyślała o Carlosie. Zawsze jawił się jej jako jakiś zły władca marionetek, kontrolujący świat wokół siebie z taką samą łatwością, z jaką kontrolował orkiestrę, ale chyba nawet on nie miał wpływu na jej obecną sytuację? Na

pewno musiał odwołać tourne. Zawstydyło ją, że na myśl o tym poczuła satysfakcję.

Felix już zasypiał, więc delikatnie wzięła go na ręce, owinęła dziecko ręcznikiem i położyła na podłodze, a sama szybko umyła włosy, po raz pierwszy od wizyty u fryzjera.

Musiała to zrobić, chociaż wcale nie zamierzała uwodzić Orlanda, tylko przemówić mu do rozsądku. Postanowiła zadziwić go swoją dojrzałością i kompetencją, pokazać mu, że jest niezbędna, nawet jeśli można się jej oprzeć. Pomyślała ze smutkiem, że odkąd pojawiła się Arabella, Orlando zupełnie przestał się nią interesować.

Na dole położyła Felixa w łóżeczku, po czym wzięła się do przygotowywania kolacji. Nigdzie nie było nawet śladu Orlanda - jak zwykle. Uśmiechnęła się do Felixa, pochyliła i ucałowała go serdecznie.

- Jesteś cudowny - szepnęła. - Jesteś cudowny, silny i piękny, niezależnie od tego, co wygaduje twój żaloszny tatuś. To jego problem, jeśli tego nie widzi.
- Nagle usłyszała kaszlnięcie.

- Wybacz, że przerywam tę niewątpliwie prywatną rozmowę - powiedział Orlando z przekąsem. - Chciałem się czegoś napić. Nie przeszkadzajcie sobie.

Rachel poczuła, że znowu robi się czerwona, ale postanowiła się tym nie przejmować. W końcu i tak nie zwracał na nią żadnej uwagi.

Orlando podszedł prosto do lodówki i wyjął z niej butelkę wody mineralnej. Poruszał się ostrożnie, powoli i wyglądał, jakby był ogromnie zmęczony.

Na jedną krótką chwilę zrobiło jej się go żal, ale natychmiast przywołała się do porządku. I dobrze mu tak. Powinien spędzać więcej czasu z synem, a nie pracować niemal do rana.

- Dziś wieczorem gotuję. - Uśmiechnęła się sztywno, z trudem. - Mam nadzieję, że będziesz mógł przerwać pracę.

- Wątpię - odparł natychmiast.

W kuchni zrobiło się tak cicho, że bez trudu usłyszał zmęczone, rozczarowane westchnienie.

- W porządku, wszystko jedno.

Orlando podszedł do marmurowej lady i oparł się o nią.

- Mam mnóstwo pracy - oznajmił.

Rachel skupiła całą uwagę na przygotowywaniu mleka w proszku dla Felixa.

- Nie ma problemu. Po prostu myślałam, że moglibyśmy... porozmawiać. O Felixie. Ale jeśli jesteś zbyt zajęty, zjem sama.

Mówiła nonszalanckim tonem, jej ciało jednak zdradzało coś całkiem innego. Przez Orlanda kuchnia wydała się jej nagle zbyt mała i Rachel uświadomiła sobie ze złością, że nie pamięta, ile miarek mleka wsypała do butelki.

- OK, postaram się przyjść. - Orlando westchnął ciężko i ruszył do drzwi.
- Postaram się. Tylko obiecaj, że nie podasz pizzy.

Rachel miała ochotę cisnąć w niego puszką mleka, ale udało się jej opanować. Pomyślała, że nawet nie zauważył Felixa, nawet nie spojrzał w jego kierunku.

Odstawiła butelkę z mlekiem do ostygnięcia, po czym podeszła do Felixa i wzięła go na ręce.

- Kochanie, jak to możliwe, że on cię nie uwielbia tak jak ja? Jesteś cudowny. - Trzymając go jedną ręką, drugą zaczęła wyjmować zakupy z torby. Na samym dnie leżała jakaś ulotka, zapewne Rachel niechcący zgarnęła ją razem z zakupami ze schowka. Wyjęła ulotkę, zamierzając ją wyrzucić, i rzuciła na nią okiem. Nagle czas stanął w miejscu, podobnie jak jej serce. Po

chwili rytm powrócił, Rachel poczuła dudnienie krwi w uszach. Felix zapłakał w jej ramionach i uświadomiła sobie, że zbyt mocno go ścisnęła.

Jeszcze raz popatrzyła na ulotkę.

Życie po utracie wzroku. Poradnik pacjenta.

Dziesięć po ósmej Orlando odetchnął głęboko i otworzył drzwi biblioteki. To był nieprawdopodobnie męczący tydzień, nie tylko przez kryzys na Bliskim Wschodzie. Na szczęście dziś ostatni samolot powrócił bezpiecznie do bazy.

Kręciło mu się w głowie z ulgi. Teraz pragnął tylko iść spać, co najmniej przez rok. Albo przynajmniej do poniedziałku, kiedy Rachel stąd zniknie, a on powróci do swojego życia. Pustego, nieskomplikowanego i wolnego od bolesnych emocji.

Na korytarzu panowała cisza, ale z kuchni sączyły się niesłychanie kuszące zapachy. Ku swojemu zdumieniu Orlando poczuł, że jest bardzo głodny. Dotąd, zajęty pracą, żywił się głównie kawą i tostami. Ruszył do jadalni, zamierzając przejść przez nią do kuchni i poszukać Rachel, ale nagle stanął w progu.

Pokój oświetlony był przez świece w kandelabrze na stole oraz na kominku, w wazonach stały świeże gałęzie świerków i ostrokrzewów. Tak jak podczas balu, pomyślał.

Dzwonił do Lucindy, ale okazało się, że jest na zwolnieniu. Usłyszał od jej pracowników, że prosiła go o wybaczenie i zapewniła, że nie zostanie obciążony żadnymi kosztami. Wtedy myślał, że to nieporozumienie, teraz jednak zrozumiał, że to Rachel odpowiadała za wystrój wnętrza.

Co jeszcze zrobiła?

Niepotrzebnie ocenił ją jako niezaradną primadonnę tylko dlatego, że była całkowitym przeciwieństwem Arabelli.

I Bogu dzięki, pomyślał nagle.

Arabella miała rację. Nigdy jej nie kochał, ale podziwiał jej bystry umysł, wysportowane, zadbane ciało i silną osobowość. Teraz jednak rozumiał już, że wybrał ją dokładnie w taki sam sposób, w jaki wybierał samochody - zawsze musiał mieć najlepszy, najszybszy, najpiękniejszy model. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że w trudnym terenie szybkość i uroda na niewiele się zdadzą.

Zastanawiał się, czy gdyby nie tracił wzroku, zdołałby to wreszcie dostrzec. Gdyby nie ta przekłeta choroba, wszystko byłoby po staremu: latałby, mieszkał z Arabellą, i, jeśli jej wierzyć, jego brat wciąż by żył.

Czy wróciłby do tego życia, gdyby to było możliwe?

- Mam nadzieję, że nie odrywam cię od ważnych spraw?

Głos Rachel, cichy i niepewny, przywołał go do rzeczywistości. Orlando odwrócił ku niej głowę i ruszył w jej kierunku.

- Nie. To był koszmarne tydzień, ale wygląda na to, że kryzys już minął.

- Kryzys?

- Obrona na granicy - odparł krótko, wchodząc za nią do rześkiej oświetlonej kuchni. Podeszedł do lodówki i wyciągnął z niej butelkę szampana..

- Świętujemy.

- Co świętujemy?

- Przetrwanie.

Rachel bez słowa wyciągnęła kieliszki, podczas gdy Orlando otworzył butelkę. Zdjął już bandaż z palców, ale widziała teraz ciemnoczerwone blizny, jeszcze jeden dowód ukrywanego cierpienia.

Poczuła się niewiarygodnie zawstydzona. Nie była w stanie na niego spojrzeć, a jednocześnie czuła się boleśnie świadoma jego bliskości. Odkąd natrafiła na ulotkę, nie mogła przestać przypominać sobie jego zachowania w pewnych sytuacjach. Powinna się była domyślić. Tak surowo go oceniała...

- Daj. - Zabrała mu butelkę. - Ja naleję, jeśli otworzysz czerwone wino. Należało to zrobić wcześniej, ale nie mogłam znaleźć korkociągu.

Nie chciał, żeby wiedziała. Postanowiła to uszanować i ułatwić mu życie. Wcześniej tylko je utrudniała, wciąż miała do niego pretensję o Felixa i o brak bohaterstwa. Nalewając szampana, doszła do wniosku, że Orlando jest znacznie odważniejszy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Stracił coś tak ważnego i radził sobie z tym całkiem sam...

Nagle przypomniała sobie, co powiedział tamtej nocy, gdy się kochali. Z jej perspektywy było to wieki temu, ale słowa wróciły z taką mocą, jakby usłyszała je przed chwilą.

Coś straciłem i tyle, coś, co uważałem za oczywistość. Teraz mi tego brakuje. Przez cały czas.

Podniosła oba kieliszki i wręczyła mu jeden.

- Za przetrwanie - powiedział.

- I za koniec kryzysu? - dodała cicho.

Orlando wypił łyk szampana i westchnął.

- Chwilowy koniec - poprawił ją. - Przynajmniej dzisiejszego wieczoru sprawy wyglądają całkiem dobrze. Jutro zaczniemy obmyślać nowe sposoby skutecznego skakania sobie do gardeł.

- Tak to wygląda?

- Zdarza się. - Patrzył prosto przed siebie. - To konieczne i nieuniknione, niestety, ale czasem jestem zwyczajnie zmęczony planowaniem następnego ataku. Zawsze w defensywie.

Zapadło milczenie. Rachel z trudem oderwała wzrok od jego pięknej, naznaczonej bólem twarzy i sięgnęła po butelkę. Musiała coś zrobić z rękami, inaczej nie byłaby w stanie się powstrzymać i z pewnością dotknęłaby jego policzka.

- Zaczynamy?

Orlando usiadł przy stole w jadalni, podczas gdy Rachel wróciła do kuchni po jedzenie. Ulżyło mu, kiedy odrzuciła jego pomoc - czuł się teraz tak zmęczony, że ledwie się ruszał.

Podparł głowę dłońmi i zamknął oczy.

Słyszał, że Rachel wróciła i rozstawia talerze na stole, słyszał także szelest materiału i jej oddech. Mimo olbrzymiego zmęczenia był aż za bardzo świadom jej bliskości.

Otworzył oczy.

- Wydajesz się bardzo zmęczony - zauważyła łagodnie.

Słyszał życzliwość, ale i cierpienie w jej głosie.

- Nic mi nie jest - odparł i pozwolił sobie na coś w rodzaju półuśmiechu.

- Mam nadzieję, że jesteś głodny?

- Przeróżliwie.

- Zrobiłam kaczkę. Przesympatyczny staruszek ze sklepu mięsnego wytłumaczył mi, jak ją przyrządzić. Zrobiłam wszystko tak, jak mówił, więc mam nadzieję, że cię nie otruje. I jeszcze... - W jej głosie pobrzmiwała niepewność.

Orlando uświadomił sobie, że tym razem uśmiecha się szczerze i szeroko.

- Mów - zachęcił ją.

- Nie wiedziałam, co jeszcze przyrządzić. Czy też może raczej wiedziałam, ale tak jakby zapomniałam, że muszę też pomyśleć o innych rzeczach. Gotowanie to poważna sprawa; nie bardzo wiedziałam, co jeszcze mogłabym zrobić, więc... - Postawiła półmisek na środku stołu. - Obawiam się, że mam ci do zaproponowania frytki.

Orlando wybuchnął śmiechem.

- Wiem, wiem, jestem beznadziejna - westchnęła. - A tak liczyłam na to, że zaimponuję ci swoimi niesłychanymi umiejętnościami. Strasznie cię przepraszam. Na dodatek pokroiłam ją wcześniej, żebyśmy mogli się częstować, nie przyszło mi do głowy, że powinniśmy jeść sztucami. Przepraszam.

- Nie ma za co. - Orlando uniósł kieliszek i wypił trochę szampana.

Nie była przyzwyczajona do uśmiechu na jego twarzy, ale sprawił jej przyjemność. Dzięki temu, że oszczędziła mu komplikacji związanych z krojeniem kaczki, mógł się skupić na rozmowie.

- Kaczka z frytkami to moje ulubione danie - oznajmił uroczyście.

- Przestań. Naprawdę się starałam.

- Wiem i dziękuję. Poza tym jestem ci winien przeprosiny - dodał.

- I owszem - oznajmiła. - I to niejedne. Od czego zaczniemy?

- Spokojnie, nie wszystko naraz. - Żartobliwie uniósł rękę. - Mam problemy z przyznawaniem się do słabości, i to każdego rodzaju. Chyba byłoby lepiej, gdybyś nie naciskała.

Rachel roześmiała się szczerze.

- Rozumiem - mruknęła i pokiwała głową. - A jeśli powiem ci, że to nie słabość? Że przyznanie się do niedoskonałości wymaga prawdziwej odwagi?

Zamarł, kiedy dotarło do niego znaczenie tych słów. Nie mógł wykrztusić ani słowa, więc sięgnął po frytkę i zanurzył ją w mięsny sosie, grając na zwłokę.

- Co do przeprosin... - zaczął. - Na początek muszę przyznać, że zupełnie cię nie doceniałem. Założyłem najgorsze.

- Tak? Aż się boję tego, co chcesz przez to powiedzieć.

- Nigdy bym nie pomyślał... - zaczął powoli, sącząc wino. - Nigdy bym nie pomyślał, że kaczka i frytki tak do siebie pasują.

- Orlando! Jeśli myślisz, że w ten sposób wykręcisz się od przeprosin, to pomyśl jeszcze raz! Bo będę... - Urwała nagle.

- Bo...? - ponaglił ją łagodnie.

Wiedział, że wkracza na niebezpieczny teren, ale był tak zmęczony, że przestał się tym przejmować.

- Bo będę tobą bardzo rozczarowana - oznajmiła.

Orlando uśmiechnął się do niej ze smutkiem.

- Bardzo nie chciałbym cię rozczarowywać. No dobrze, nie doceniłem cię i jestem ci winien nie tylko przeprosiny, ale i podziękowania. Czy słusznie zakładam, że ubiegłotygodniowy bal został w dużej mierze przygotowany przez ciebie, a nie Lucindę?

- Ależ skąd - zaprzeczyła Rachel natychmiast. - Bardzo ciężko pracowałam, ja niemal nic nie zrobiłam.

- Rozumiem. Czyli gałęzie w wazonach to nie twój pomysł?

- No cóż, mój, ale...

- A świece w pokojach i na podwórzu?

- To też ja, ale nie...

- Świetnie sobie poradziłaś, Rachel - przerwał jej. - Doskonale. Dom nie wyglądał tak od wielu lat. Ożywiłaś go i nawet nie wiesz, jakie to wspaniałe. Zbyt długo stał pusty i ponury.

- Przecież nie musi tak być.

Mówiła bardzo cicho, a on wyczuwał jej strach, wahanie, niepewność, a pod tym wszystkim czyste pożądanie. Nagle zapragnął zerwać się z miejsca, przyciągnąć ją do siebie i całować do utraty tchu.

Przez bardzo długą chwilę żadne z nich nawet nie drgnęło. Dopóki z elektronicznej niańki w kuchni nie dobiegł głośny ryk Felixa.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przytulona do dziecka Rachel przywoływała się w myślach do porządku.

Co ona sobie myślała? Chodziło przecież wyłącznie o to, żeby udowodnić Orlandowi, jaka jest niezbędna, rozsądna i zaradna. Miał sobie uświadomić, że nie znajdzie nikogo lepszego do opieki nad Felixem.

Tymczasem zachowywała się jak nienormalna.

- Jestem beznadziejna, Felix - wyszeptała, po czym odłożyła dziecko do wiekowej rodzinnej kołyski. Usta chłopca natychmiast otworzyły się w proteście. - Kochanie, nie wolno ci płakać - jęknęła Rachel błagalnie. - Muszę teraz zejść i powiedzieć twojemu boskiemu tacie, że nie powinien zatrudniać nikogo innego do opieki nad tobą. - Twarz Felixa się pomarszczyła i zaczął krzyczeć. - Ciii, skarbie. Ciii...

Nic to nie dało. Rachel z westchnieniem wyjęła dziecko i kołysała je na rękach.

- Błagam cię, bądź cichutko. Już i tak schrzaniłam kolację. Proszę... Muszę z nim porozmawiać, być może to moja jedyna szansa. Przecież chodzi o ciebie. Nie mogę znieść myśli, że mogłabym cię zostawić... - Urwała i przycisnęła usta do miękkich włosów dziecka. - Ani jego. Nie chcę, nie mogę go zostawić...

Podeszła do okna, odchyliła zasłonę i wyjrzała w ciemność. Księżyc nie świecił, ogród oraz podwórze pogrążone były w mroku. Tyle odcieni czerni, pomyślała, i poczuła ucisk w sercu.

Felix na jej ramieniu nagle głośno zapłakał i czknął. Rachel popatrzyła na niego i zrozumiała, że na pewno nie pójdzie spać bez butelki.

- Kochanie, jesteś równie uparty jak twój tata - szepnęła. - Poddaję się.

- Nie powinnaś - usłyszała za sobą niski głos. - Jesteś o wiele za miła, i za łagodna. Postaw się nam obu.

Rachel obróciła się na pięcie i ujrzała sylwetkę Orlanda w progu.

- Hm. - Ponownie wyjrzała w ciemność za szybą. - Już raz próbowałam, pamiętasz? Kazałeś mi się stąd wynieść.

Zawahał się, zanim odpowiedział:

- To nie była kara.

Podszedł bliżej, ale zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

Odwróciła się powoli i spojrzała mu w twarz.

- Ale ja tak to odbieram - wyznała głucho, a jej oczy wypełniły się łzami.

- Właśnie tak. Wiem, że to nielogiczne, i to tylko moja wina, bo jestem głupia, ale pokochałam tego chłopca... - Zaszłochała i mocno przytuliła dziecko. -

Wiem, że nie mam prawa, nie należy do mnie. Ale jest taki kochany, że nic nie mogłam na to poradzić, chociaż wcale tego nie chciałam. Tak bardzo żałuję...

- Nie mów tak.

- Ale to tym bardziej bolesne. Chciałam cię dziś przekonać do siebie, żebyś pozwolił mi zostać, pokazać, jaka jestem zaradna i że nikt nie zajmie się Felixem lepiej ode mnie. Ale wszystko zepsułam, zapomniałam przygotować warzywa, a teraz znowu płaczę. Nic dziwnego, że chcesz kogoś innego do opieki, skoro większość czasu w twoim towarzystwie spędzam na absurdalnych płaczach.

- Wcale nie absurdalnych. To był ciężki tydzień. Poza tym nie dlatego szukałem opiekunki.

- A dlaczego?

- Bo dla odmiany postanowiłem, że może choć raz zrobię coś dla kogoś, nie tylko dla siebie.

Rachel przygryzła wargę, kiedy łzy ponownie napłynęły jej do oczu. Orlando chciał się poświęcić dla Felixa, a ona zachowywała się samolubnie.

- Obiecuj mi, że ktokolwiek się nim zaopiekuje, okaże mu miłość - poprosiła łamiącym się głosem. - Felixowi potrzebny jest ktoś sprawny i zorganizowany, ale to nie wszystko. Ten ktoś musi go pokochać.

- Arabella jest sprawna i zorganizowana, choć w jej wypadku trudno mówić o cierpliwości i zdolności do kochania.

- Obiecuj mi coś, proszę. - Popatrzyła na niego z powagą w oczach. - Ja ze swojej strony obiecuję, że odejdę bez żadnych protestów i błagań, ale mam jeden warunek. Chciałabym, żebyś sam zajął się wychowaniem Felixa i otoczył go miłością.

Orlando potrząsnął głową.

- Nie mogę.

- Możesz - podkreśliła z determinacją. - Pracujesz, więc rzecz jasna zatrudnisz kogoś, kto zajmie się codziennymi obowiązkami, ale ty będziesz odpowiedzialny za wychowanie...

Westchnął ciężko.

- Tego nie da się zrobić - powiedział ze smutkiem.

- W takim razie zostaję - postanowiła stanowczo i wręczyła mu Felixa. - Zajmij się nim przez chwilę i zastanów, a ja przyniosę mleko.

Orlando wziął syna na ręce i powiódł wzrokiem za Rachel, która w milczeniu wyszła z pokoju.

Gdy wróciła z mlekiem, Orlando stał przy łóżeczku i trzymał na rękach śpiącego Felixa.

- Rachel?

Podeszła bliżej.

- Mam dla niego butelkę.

- Lepiej ty się tym zajmij.

- Nie, ty masz na niego magiczny wpływ. Już prawie zasnął. Jeśli go wezmę, znowu się rozbudzi. - Wsunęła Orlando butelkę w dłoń. - Przystaw mu smoczek do ust, a z resztą sam sobie poradzi.

Po chwili Felix zachłannie pił mleko. Zachwycona Rachel podeszła do stolika przy łóżku i włączyła i-poda, z którego popłynęły dźwięki Nokturnu e-moll Chopina.

Orlando uśmiechnął się lekko.

- Sądziłem, że woli wykonania na żywo - wyszeptał.

- Ze skruchą przyznaję, że nie grałam tylko dla niego - wyznała zakłopotana.

- Brakuje ci tego?

- Oczywiście. Gram, odkąd pamiętam, i teraz czuję się tak, jakbym straciła część siebie. - Nagle uświadomiła sobie, co mówi, i umilkła. - Śpi - zauważyła, zmieniając temat, i zabrała butelkę. - Połóż go do łóżeczka, ja poczekam za drzwiami.

Po chwili na korytarzu zjawił się także Orlando i delikatnie przytknął drzwi.

- Widzisz? Udało ci się - pochwaliła go. - Spełniłeś obietnicę, więc teraz moja kolej. - Starła się mówić spokojnie, jednak głos jej się łamał. - Dowiedziałeś, że go pokochasz, zatem mogę spokojnie odejść.

- Wykluczone.

Wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie. Nagle wszystko stało się jasne. Pragnął jej tak bardzo, jak jeszcze nikogo.

- Rachel?

- Nie przestaję myśleć o tobie. Nie mogę przestać cię pragnąć - wyznała spontanicznie i przycisnęła wargi do jego szyi.

- Wiem - odetchnął. - Ja też...
- Więc na co czekasz? - szepnęła i pocałowała go w usta.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Telefon.

Momentalnie wpadła w popłoch. Telefony w środku nocy mogą oznaczać wyłącznie złe wieści. Zaspany Orlando wyciągnął rękę do aparatu i przycisnął słuchawkę do ucha.

- Orlando Winterton - przedstawił się i w następnej sekundzie usiadł, wyraźnie zaniepokojony. - Jak ona się czuje?

Serce Rachel zaczęło walić jak młotem, poczuła strach. Słyszała niewyraźne dźwięki ze słuchawki, ale nie była w stanie zrozumieć ani słowa. Za to zrozumiała coś innego - że krótkie chwile szczęścia dobiegły końca.

- Jak to, nie może mi pani powiedzieć? Wiem, że nie jestem spokrewniony... Ale przecież to matka mojego dziecka!

Rachel zrozumiała, kogo dotyczy rozmowa, i ogarnęła ją ogromna pustka. W milczeniu wysunęła się z łóżka i poszła do swojego pokoju.

- Jest w szpitalu, nic więcej nie chcą mi zdradzić. Podobno chce mnie widzieć, więc nie mam wyjścia, muszę jechać.

Rachel tylko skinęła głową. W szarym świetle poranka Orlando wydawał się skrajnie zmęczony i wymizerowany. Miała ochotę przytulić go i pocieszyć, choć przecież cierpiał, gdyż niepokoił się o inną kobietę. Cholerna Arabella.

- Chciałem zarezerwować bilet do Paryża, ale do wieczora nie ma wolnych miejsc, więc skontaktowałem się z RAF-em. Są mi winni kilka przysług. O jedenastej wylatujemy z Northolt.

- My? - Drgnęła zaskoczona.

- Wybacz, powinienem był cię spytać o zgodę. Arabella chce zobaczyć Felixa, więc polecisz ze mną.

Ze smutkiem pomyślała, że doświadcza skrajnej formy upokorzenia: cieszy się, bo może towarzyszyć Orlandowi w drodze do łóżka jego ukochanej.

- W porządku. - Uśmiechnęła się blado. - Tylko spakuję kilka rzeczy.

Orlando wstał od stołu i zacisnął zęby. Kolejne kłamstwo. Oczywiście Arabella nie zająknęła się nawet słowem o Felixie, sam to wymyślił. Musiał zabrać Rachel, bo nie potrafiłby polecieć bez niej, a w dodatku bał się, że jej nie zastanie po powrocie.

George zawiózł ich na lotnisko starym daimlerem lorda Ashbrooke'a. Orlando siedział z przodu, a Rachel i Felix w dziecięcym foteliku z tyłu.

Gdy wyjeżdżali z posiadłości, patrzyła na gmach z czerwonej cegły, zastanawiając się, czy kiedykolwiek tu wróci. A jeśli nawet, to na jakich warunkach. Myśl o tym, że już wkrótce Arabella będzie panią Easton, była absolutnie nie do zniesienia.

Gdy zaparkowali nieopodal niewielkiego, lecz bez wątplenia luksusowego samolotu, ku zaskoczeniu Rachel na powitanie ich wyszła spora grupa żołnierzy. Wtedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że Orlando bez wątplenia jest kimś ważnym. Gdy wsiadali do samolotu, na twarzy Orlanda nie malowały się żadne emocje, jednak gdy wzbili się w powietrze, zauważyła, że chwycił z całej siły za oparcia fotela, a jego kostki pobladyły.

- Wczoraj w nocy... - Patrzyła prosto przed siebie, więc nie dostrzegła bólu na twarzy Orlanda. - Wczoraj, kiedy zapytałeś, czy brakuje mi fortepianu... Znałeś odpowiedź, prawda?

- Tak. - Nawet nie potrafiłby opisać, jak bardzo, każdą cząstką ciała. Zamknął oczy i przygotował się na następne pytanie: „Dlaczego zrezygnowałeś?”.

- Wcale się nie dziwię - powiedziała jednak.

- To musiało być wspaniałe uczucie.

Poczuł ulgę, ale podszytą rozpaczą. Wczoraj, kiedy ją całował, pogodził się już z tym, że jej pragnie, nie na chwilę, nie na jedną noc, ale na dłużej. Na zawsze. Nadal jednak nie zdradził jej prawdy o sobie.

Musiał to zrobić, naturalnie. Już wkrótce...

Co za ironia - bał się. On, który wyszydzał jej brak odwagi, bał się jak dziecko. A ona, raz za razem, udowadniała, jaka jest dzielna.

- Tak - odparł tylko. - Nie da się tego z niczym porównać.

- Jesteśmy pod szpitalem - oświadczył kierowca czarnej limuzyny, kiedy zatrzymywali się na parkingu przed dużym budynkiem.

Orlando sięgnął do klamki w drzwiach, ale w ostatniej chwili się zawahał i popatrzył na Rachel.

- Nie wiem, ile czasu mi to zajmie. Najlepiej będzie, jeśli pojedziesz teraz do hotelu. Prześlę wiadomość do recepcji, czy Arabella jest w stanie spotkać się z Felixem.

Jego oczy były bardzo ciemne, pełne emocji, nad którymi nawet nie chciała się zastanawiać. Gwałtownie otworzył drzwi, a gdy wysiadał z samochodu, Rachel zobaczyła coś, co wprawiło ją w przerażenie. Na budynku za plecami Orlanda wisiał wielki plakat reklamujący zaplanowany na jutro koncert. Na plakacie widniało zdjęcie uśmiechniętej Rachel Champion, pianistki.

Orlando odwrócił się i wsunął głowę do samochodu.

- Musimy porozmawiać - mruknął ponuro.

Nie odpowiedziała, próbując zapanować nad rozszalałymi myślami. Może przeoczyła informację o odwołaniu koncertu? Uważniej spojrzała na plakat - wynikało z niego, że impreza ma się odbyć zgodnie z planem.

Dlaczego Carlos i ludzie od PR-u nic z tym nie zrobili? Co się tutaj działo?

- Rachel, proszę cię... - W głosie Orlanda słychać było zmęczenie. -

Wybacz, że cię tutaj ciągnąłem. Porozmawiamy później, obiecuję...

- Co takiego? Ach, tak. Dobrze.

Orlando spochmurniał. Przez całą drogę bił się z myślami, nękany poczuciem winy, a ona najwyraźniej wcale nie była zainteresowana tym, co miał jej do powiedzenia. Zatrzasnął drzwi, a gdy samochód odjechał, powoli wszedł po schodach do szpitala. Bolała go głowa, a z dala od Easton uszkodzony wzrok poważnie utrudniał mu poruszanie się.

- *Monsieur* Winterton? - powitała go recepcjonistka przy biurku na końcu eleganckiego korytarza, daleko od głównego wejścia. - Dobrze, że pan jest.

Mademoiselle de Ferrers pytała o pana.

- Jak ona się czuje?

- Fizycznie coraz lepiej, więc pewnie jutro ją wypiszemy, ale mamy obawy związane z jej stanem psychicznym - wyjaśniła z ledwie słyszalną nutą dezaprobaty w głosie. - Nie może się pogodzić z faktem, że na jej ciele pozostaną blizny.

Orlando poczuł się tak, jakby na jego gardle zacisnęła się lodowata dłoń.

- Miała wypadek samochodowy? Prowadziła?

Pielegniarka zajrzała do dokumentów.

- Nie, *monsieur*. Przeszła operację plastyczną. Lifting biustu w nierejestrowanej klinice w Szwajcarii. Lekarz nie wiedział, że niedawno urodziła dziecko i że jest jeszcze za wcześnie na interwencje chirurgiczne. Jak należało się spodziewać, doszło do rozległego zakażenia. Pacjentka zgłosiła się

do nas dwa dni temu, a lekarze zrobili wszystko, co w ich mocy, ale blizny mogą pozostać na zawsze.

Lodowata ręka się cofnęła, ale zastąpił ją palący gniew.

Orlando uśmiechnął się sztywno.

- Dziękuję za pomoc. Czy mogę spotkać się z chorą?

Rachel przez kilka godzin kręciła się po apartamencie i zajmowała Felixem. Orlando zarezerwował dwupokojowy apartament, najwyraźniej ostatnia noc nie miała się już powtórzyć. W pewnym momencie zebrała się na odwagę i zadzwoniła do recepcji, po czym jękając się, zapytała o możliwość otrzymania biletów na koncert tej słynnej pianistki, reklamowany w całym mieście. Po chwili oczekiwania usłyszała, że niestety, wszystkie bilety są już wyprzedane.

- A więc koncert się odbędzie? - wykrztusiła.

- Tak, *mademoiselle* - usłyszała zdumiony głos.

Kiedy odłożyła słuchawkę, jej serce waliło jak młotem. Po chwili telefon zadzwonił, a ona odebrała z nadzieją, że recepcjonista chce zapewne wyjaśnić pomyłkę i poinformować ją o odwołaniu koncertu. Okazało się jednak, że ma zejść z dzieckiem do samochodu, który czeka na nią przed wejściem do hotelu.

Przy drzwiach do sali szpitalnej Arabelli zastała pogrążonego we śnie Orlanda. Leżał na sofie, z jedną ręką opuszczoną, a drugą ukrytą pod głową. Na jego widok ścisnęło jej się serce. Poczuli się tak, jak wtedy, pierwszego dnia, gdy zobaczyła krew spływającą z jego palców. Już miała sięgnąć do jego twarzy, gdy nagle rozległ się drwiący głos:

- Proszę wybaczyć, że przerywam tę adorację, ale chyba nie zostaliśmy sobie przedstawione.

Rachel omal nie podskoczyła.

- Przepraszam, nie chciałam... - Zarumieniła się bezradnie.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia.

- Zapraszam do środka - odezwała się Arabella. - Najwyższa pora, abyśmy zawarły znajomość.

- Przepraszam, że panią niepokoję - wybąkała Rachel. Zanim weszła, postawiła fotelik ze śpiącym Felixem na podłodze obok sofy. - Jestem Rachel.

- Oczywiście. - Arabella zmrużyła oczy. - Wiem przecież. Zdumiewające.

- Zdumiewające? Nie rozumiem...

Arabella parsknęła nienaturalnym śmiechem, nie spuszczać wzroku z twarzy Rachel.

- Niech pani nie będzie taka skromna, droga Rachel. Byłam w błędzie. Myślałam, że Orlando zainteresował się jakimś niezaradnym słodkim dziewczęciem, a tu proszę. Nie mogłam się bardziej pomylić - przyjaciółka Orlando to słynna Rachel Campion, znana na całym świecie pianistka, która już jutro szturmem weźmie Paryż.

Rachel nerwowo pokręciła głową.

- Nie, to nieaktualne informacje - zaprotestowała słabym głosem.

- Jak to? Przecież pani podobizny zawisły na mieście.

- Koncert jest odwołany. Podejrzewam, że organizatorzy nie zdążyli zdjąć plakatów. Zrezygnowałam ze współpracy z kierownictwem.

- Coś się pani pomyliło, moja droga - wycedziła Arabella. - Niektórzy moi znajomi mają bilety, a poza tym kontrakt obliguje panią do występu, prawda? - Na jej pięknej twarzy malowała się dziwna fascynacja. Rachel miała ochotę zasłonić oczy rękami, żeby nie musieć patrzeć na Arabelle. - Może pani usiądzie? Będzie nam wygodniej gawędzić. Nie chciałabym budzić naszego śpiącego królewicza. Piękny jest, nie da się ukryć. Zakochała się pani w nim i to z jego powodu zrezygnowała pani z fantastycznej, choć szalenie

wymagającej kariery? Proszę nie zaprzeczać, potrafię bez trudu wyczytać prawdę z pani twarzy.

Rachel odwróciła wzrok.

- Bardzo przepraszam... - wyszeptała niemal niedosłyszalnie.

- Moja droga, proszę nie przepraszać, naprawdę nie ma za co. - Głos Arabelli pełen był troski. - Moje słowa były bardzo nietaktowne. Miłość jest trudna, ale miłość do Orlanda Wintertona.... - Pokręciła głową. - Cóż, takie jest życie, nie pani pierwsza wetknęła palce do tego ognia. Spała pani z nim, prawda?

Przygnębiona Rachel skinęła głową i nie zauważyła niegodziwego błysku w oku rozmówcy.

- Ojej. I pewnie niepotrzebnie pani uwierzyła, że on odwzajemnia pani uczucia? - Arabella wyciągnęła rękę i poprawiła kosmyk włosów, który opadł na czoło Rachel. - Niełatwo mi to powiedzieć, ale nie chcę, żeby taka piękna i utalentowana dziewczyna marnowała sobie życie, więc będę z panią absolutnie szczerą - chcę odzyskać Orlanda i zacząć wszystko od początku. Dla dobra Felixa.

Rachel zamknęła oczy i zeszywniała.

- Niech pani mnie dobrze zrozumie - ciągnęła zimno Arabella. - Nie wierzę w trwałość związków opartych wyłącznie na dzieciach - zwłaszcza jeśli jedno z partnerów kocha kogoś innego. Tylko, hm, jakby to powiedzieć... wątpię, żebym miała z tym do czynienia w tym konkretnym przypadku. Jestem pewna, że Orlando nie wyznał pani miłości. Czy wyznał?

Rachel powoli zaprzeczyła ruchem głowy, a po jej policzkach spłynęły palące łzy.

- No tak - westchnęła Arabella obłudnie.

- Głupie pytanie. Ledwie się znacie, a Orlando nie jest skory do wyznawania uczuć. Miłość do mnie zadeklarował dopiero po roku. To dumny człowiek i ogromnie ceni sobie prywatność. Oczywiście, jeśli kogoś kocha, nie wznosi żadnych barier.

Całe to spotkanie zamieniało się w jakiś senny koszmar. Podświadomie Rachel spodziewała się, że lada moment w pokoju zmaterializuje się Carlos i zacznie ją gonić. Tylko ból głowy i dudnienie w uszach podpowiadały jej, że to nie sen, ale rzeczywistość, niestety.

- Powinna pani wiedzieć coś jeszcze. Gdyby Orlando wiązał z panią jakieś plany na przyszłość, na pewno nie ja musiałabym panią o tym informować... - Arabella dramatycznie zawiesiła głos. - Zapewne nie powiedział pani, że ślepnie?

- Wiem o tym. - Rachel dostrzegła zdumienie w oczach Arabelli. - Przypadkiem. Pożyczyłam od niego samochód i w skrytce znalazłam ulotkę na ten temat. Wtedy wszystko stało się jasne.

- Ale on pani tego nie powiedział?

- Nie.

- Może nie miał okazji?

Myśli Rachel po raz tysięczny powróciły do wczorajszego wieczoru. Orlando miał mnóstwo okazji.

- Wiem od niego, że sytuacja staje się dramatyczna. Choroba dotyka tylko środkowej części oka, dlatego na pozór wszystko wydaje się normalne. Orlando nic nie dostrzega w centrum pola widzenia. - Arabella wydeła usta z udawanym żalem. - Dlatego, moja droga, nigdy nie widział pani uroczej buzi. Gdyby miał po temu sposobność, z pewnością od razu by się zakochał, to jasne jak słońce.

- To bez znaczenia - powiedziała cicho Rachel. - On kocha panią, wiedziałam to od początku.

- Cóż, na swój sposób zapewne coś do mnie czuje - przyznała Arabella beztróskim tonem. - Będziemy razem dla dobra Felixa. Dorastanie w rodzinnym gronie jest niesłychanie ważne dla dziecka, prawda? Właśnie dlatego zabiorę małego do Brazylii, jeżeli Orlando do mnie nie wróci.

- Do Brazylii? - powtórzyła Rachel.

Jej serce waliło jak młotem.

- Właśnie tam, do mojej rodziny: kuzynów, ciotek, wujków... Rzecz jasna, nikt nie zastąpi mu ojca.

Rachel popatrzyła jej w błękitne oczy i z obrzydzeniem dostrzegła w nich zawołowaną groźbę. Jeżeli Orlando nie wróci do Arabelli, ona wywiezie dziecko na drugi koniec świata.

- Moja droga - podjęła Arabella. - Proponuję, żeby pani przyszykowała się do jutrzejszego koncertu i kontynuowała karierę. I proszę się nie martwić o Felixa, zaopiekuję się nim... razem z Orlandem.

Rachel ze wstydem zorientowała się, że jej ciałem wstrząsa spazmatyczne łkanie.

- W takim razie... Sama nie wiem... Trudno powiedzieć...

- Niech pani idzie do hotelu i solidnie się wyśpi. Rano spotkamy się tu ponownie i dokończymy rozmowę. Zgoda?

Przygnębiona Rachel tylko skinęła głową. Spojrzała ze smutkiem, pocałowała swoje palce i musnęła nimi usta Orlanda. Usłyszała za sobą pełen potępienia syk Arabelli.

- Proszę go nie budzić, moja droga. Jest zmęczony, a ja chciałabym, żeby wypoczął. To chyba rozsądne, nie uważa pani?

Nagle Rachel się rozzłościła. Miała ochotę wrzasnąć na Arabelle, że zmęczenie Orlanda to jej wina. Walczyła z pokusą, ale zdołała się opanować i tylko przymknęła powieki.

- Nie obudzę go - powiedziała ze znużeniem. - Chciałam się tylko pożegnać. Z oboma.

Przykucnęła i pocałowała śpiącego Felixa w czoło. Popatrzyła na śpiącego Orlanda, a łzy spływały po jej policzkach.

- No już, nie ma się co rozczulać - burknęła Arabella ostro. - Zobaczy go pani rano.

To nie miało żadnego znaczenia. Rachel dobrze wiedziała, że już po wszystkim.

Rachel nie miała pojęcia, że jako jedna z nielicznych kobiet w zdominowanym przez mężczyzn świecie finansów, Arabella nie zawaha się przed niczym. Potrafiła bardzo skutecznie wykorzystywać swoje kontakty zawodowe, i tak właśnie, nie ruszając się z łóżka, postanowiła ostatecznie załatwić tę sprawę. Zadzwoiła w kilka miejsc i już po dziesięciu minutach wiedziała, kim jest agent Rachel Champion, którego niezwłocznie powiadomiła o miejscu jej pobytu.

Teraz pozostało jej tylko zatrzymać przy sobie Orlanda, przynajmniej do rana, kiedy Rachel już z pewnością będzie pod opieką zachwyconego agenta. Wtedy Arabella ze współczuciem poinformuje Orlanda o jej ucieczce. Uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z własnej przebiegłości, i zgasła światło przed snem.

Ktoś zapukał do drzwi.

Rachel nikogo się nie spodziewała, więc nawet nie drgnęła. Była zbyt zmęczona, zeszywniała i wyziębiona, żeby otwierać nieznajomym. Siedziała na krześle przed oknem i od wielu godzin na próżno wypatrywała samochodu

Orlanda. O upływie czasu świadczyło tylko to, że niebo rozjaśniły pierwsze promienie słońca.

Pukanie stało się bardziej natarczywe.

Może przeoczyła samochód? Może Orlando przyszedł prosto do niej, nie zatrzymując się w recepcji i nie prosząc o klucz?

Wstała z wysiłkiem, niepewnym krokiem podeszła do drzwi, przekręciła zamek i z nadzieją nacisnęła kłamkę.

- Orlando...

Urwała i ciężko oddychając usiłowała zrozumieć, co się dzieje i czy nie zawodzi jej wzrok.

Na progu stał Carlos i patrzył na nią ze współczuciem oraz troską.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Orlando wpadł do holu przy wejściu do hotelu, który o tej porze ranka tętnił już życiem. Pośpiesznie minął kilka grup ludzi, zajętych swoimi sprawami, i podszedł prosto do recepcji.

- Czy pani Champion jest w apartamencie pomarańczowym? - warknął. - A może już się wymeldowała?

Recepcjonista spojrział na niego surowo i bez słowa wystukał coś na komputerze.

- *Non, monsieur* - odparł z uprzejmym dystansem i skierował wzrok na windy, widoczne zza ramienia Orlanda.

- Mogę prosić o klucz? - spytał Orlando chrapliwym głosem.

Myślał tylko o tym, że skoro się nie wymeldowała, to na pewno jest jeszcze na górze.

- Jeden moment, proszę pana - oznajmił recepcjonista gładko i wyszedł, by po chwili zjawić się z kluczem.

Odchodząc od blatu, Orlando nie zauważył uśmiešku wyższości na ustach pracownika. Szybko podszedł do windy, trzasnął pięścią w przycisk i odetchnął z ulgą, kiedy drzwi natychmiast rozsunęły się bezszelestnie.

Wsiadł i zaklął pod nosem, bo nie potrafił nawet odczytać liczb przy guzikach. Nerwowo, po omacku policzył przyciski, nacisnął właściwy, a gdy w końcu dotarł do apartamentu, gwałtownie otworzył drzwi i wparował do środka.

- Rachel!

Jego głos był tak przesycony emocjami, że brzmiał prawie jak głos zupełnie innego człowieka. Niemal biegiem minął salon, zrzucając po drodze wazon z kwiatami, a gdy po kolei zaglądał do pustych pomieszczeń, jego nadzieja stopniowo gasła. W końcu wrócił do drzwi wejściowych i znieruchomiał. Musiał stawić czoło rzeczywistości.

Tym razem Arabella mówiła prawdę. Rachel odeszła, pozostawiając po sobie tylko ulotną woń płatków róż, a jego życie legło w gruzach.

- *Querida...* lepiej się czujesz?

Carlos popatrzył na Rachel z troską, kiedy wszedł do jej garderoby przy sali koncertowej. Znieruchomiała z palcami zaciśniętymi na suwaku sukni i obronnym gestem przycisnęła zielony aksamit do ciała.

- Nadal wyglądasz na bardzo zmęczoną - dodał. - Szkoda, że nie pozwoliłaś się odwieźć do hotelu, odpoczęłabyś trochę przed wieczorem.

- Nic mi nie jest - zaprotestowała chłodno. - Musiałam się rozegrać.

- Jesteś rewelacyjna jak zawsze. - Carlos pogłaskał ją po zeszywniałych ramionach. - Cieszę się, że moja mała gwiazdka wróciła tam, gdzie jej miejsce. Nie masz pojęcia, jak bardzo się martwiliśmy.

- Przecież zostawiłam wiadomość. Wiedzieliście, że nic mi nie grozi. Małe oczka Carlosa zaśniły w ostrym świetle lampy pod sufitem.
- Wiem, i starałam się zrozumieć, że potrzebujesz czasu do namysłu.

Dlatego nie robiliśmy sensacji z twojego zniknięcia - oznajmił. - Jestem uczciwym człowiekiem, *querida*. Nie winię cię. W głębi serca nie wątpiłem w twój powrót.

- Domyśliłam się tego, przecież nie odwołałeś koncertu. Co byś zrobił, gdybym nie wróciła?

Carlos demonstracyjnie zamachał rękami.

- Opracowałem plan awaryjny. - Nieoczekiwanie ściągnął brwi. -

Dostatecznie mnie upokorzyłaś w kościele, Rachel, kiedy uciekłaś. Musiałem wydać mnóstwo pieniędzy i sporo się napracować, żeby wyciszyć sprawę. Nie chciałbym tego powtarzać.

- Co zamierzałeś zrobić? - spytała, rozdarta między niechęcią do wysłuchiwanie jego zwierzeń a pragnieniem poznania całej prawdy.

Kiedy zaczął ją okrażać, pomyślała z niesmakiem, że jest przysadzisty i znacznie niższy od Orlanda. Nie bała się go już ani trochę, po prostu ją brzydził. Postanowiła współpracować z nim do końca tournée, ani dnia dłużej.

Zatopiona w myślach, ledwie poczuła, że palce Carlosa suną po jej plecach jak robaki i od niechcenia manipulują przy zamku błyskawicznym sukienki.

- Nie jesteś jedyną rudowłosą pianistką, *querida* - wyszeptał, niemal muskając wargami jej szyję. - Ile razy mam ci to powtarzać? Rachel Champion to nie imię i nazwisko, lecz marka. Jeżeli nie zjawisz się na koncercie, zamiast ciebie wystąpi dublerka. Publiczność nie zauważy różnicy, sala jest wielka, więc słuchacze dostrzegą tylko rude włosy i uznają, że to ty. - Zaśmiał się pas-kudnie. - Na tym polega potęga marketingu, maleńka.

Rachel znieruchomiała.

- A co z muzyką? - wykrztusiła głucho. - Pewnie uda ci się znaleźć kogoś podobnego do mnie, ale na pewno nie będzie potrafił grać jak ja.

- Fakt, nie wszyscy pianiści mają twój talent, więc krytycy na pewno się rozczarują. Będą szeroko komentowali twój brak finezji, ciężkość interpretacji... Rachel Champion nie udało się muzycznie dojrzeć, choć dotąd grała tak obiecująco, powiedzą. Wypaliła się, zanim naprawdę zabłysła. Wielka szkoda.

Gdy Rachel w pełni uświadamiała sobie wagę tej groźby, na korytarzu rozległy się jakieś hałasy oraz piskliwy głos jej matki. Po chwili drzwi otworzyły się z hukiem i na progu stanął Orlando.

Od razu się zorientowała, że jest wściekły.

- Chcę porozmawiać z Rachel - odezwał się szorstkim głosem. - Na osobności.

- Wykluczone - zaprotestował Carlos pośpiesznie. - Przed występem nie wolno jej...

Urwał, kiedy Orlando chwycił go za rękę, pociągnął i wykręcił mu ją za plecy.

- To na pewno ty jesteś tym draniem, który zaciągnął ją do łóżka i usiłował zmusić do ślubu. Jesteś dyrygentem, co?

Carlos wymamrotał coś niezrozumiale.

- Tak przypuszczałem - warknął Orlando. - Dyrygowanie ze złamanym barkiem nie będzie proste. Powiedzmy, że jeśli jeszcze kiedyś ją tkniesz, twoja kariera legnie w gruzach. Dotarło...?

Pchnął go ku drzwiom, Carlos zmełł w ustach przekleństwo. Po chwili poprawił frak i wymaszerował, usiłując zachować resztki godności. Orlando wsunął dłonie do kieszeni i powoli podszedł do Rachel.

- Znowu uciekłaś - zauważył zjadliwie. - Weszło ci to w krew.

Cofnęła się o dwa kroki, zdumiona wrogością w jego tonie.

- Przyszedłeś tutaj, by powiedzieć, że brakuje mi odwagi? Nie trać czasu, wiem o tym.

- Nie - burknął. - Chciałem sprawdzić, czy u ciebie wszystko dobrze. I przekonać się, czy dokonałaś wyboru z własnej, nieprzymuszonej woli.

Rachel odetchnęła głęboko, żeby przygotować się psychicznie na nieuniknione kłamstwo. Robiła to dla Felixa i Orlanda, dla ich wspólnej przyszłości w roli ojca i syna.

- Stałam się zbędna - oświadczyła z podziwu godnym spokojem. - Felix ma teraz oboje rodziców. Nie potrzebuje mnie.

- A co ze mną? - zbuntował się Orlando i gwałtownie zatrzęsął drzwiami. - Nie zasłużyłem na wyjaśnienie, a przynajmniej na pożegnanie?

- Bałam się, że skłonisz mnie do pozostania... Poza tym musiałam odejść, inaczej straciłabym rozum.

- Dlaczego?

- Bo się w tobie zakochałam! - krzyknęła. - Poza tym byłeś niedostępny. Mogłam liczyć tylko na seks, reszta ciebie pozostawała poza moim zasięgiem. Takie życie wykończyłoby mnie. Przez cały czas trzymałeś mnie na dystans, a ja potrzebuję czegoś więcej!

- Masz rację - przyznał z poszarzałą twarzą. - Trzymałem cię na dystans, ale miałem po temu powody.

- Czyżby?! - krzyknęła z rozpaczą. - Może wreszcie raczysz mi wyjaśnić jakie?

W tej samej chwili ktoś energicznie zapukał do drzwi.

- Pięć minut, *mademoiselle*!

- Wielkie nieba! - Rachel podskoczyła, w panice przycisnęła dłonie do twarzy i wtedy zielona sukienka osunęła się jej z ramion.

- Pomogę ci - zaproponował Orlando i nie czekając na odpowiedź, zapiął jej suwak na plecach.

- Jak ja się będę ubierała bez twojej pomocy? - westchnęła rozbawiona.

- Jeszcze nie jest za późno.

Popatrzyła mu w twarz.

- Przeciwnie, Orlando. Uwierz mi, już nic nie da się zrobić.

Ponownie zabrzmiało stukanie do drzwi.

- Panno Champion, wszyscy są gotowi!

Orlando opuścił ręce.

- W takim razie nie będę cię zatrzymywał.

Zawahała się przy drzwiach i popatrzyła na niego wielkimi, przejętymi oczami.

- Chciałabym tylko wiedzieć... dlaczego nie pozwoliłeś mi zbliżyć się do ciebie. Naprawdę, moje uczucia nie zmieniłyby się ani odrobinę, gdybyśmy byli sobie bliscy. Chyba nie chodzi o coś tak głupiego jak to, że tracisz wzrok?

Bardzo powoli odwrócił ku niej głowę.

- Arabella ci to powiedziała?

- Tak, ale i tak domyśliłam się już wcześniej, w Easton. - Rachel uchyliła drzwi. - Ten problem absolutnie niczego nie zmienia, więc przestań się za nim chować!

Odeszła, a on po kilku sekundach ruszył za nią, lecz nie miał już szans jej dogonić. Salę koncertową wypełniły entuzjastyczne brawa, ale dla Rachel owacje nie miały znaczenia. Grała dla siebie, dla Orlanda i dla Felixa, aby wyrazić ból, którego nie potrafiła inaczej okazać.

Zagrała koncert życia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Londyn, cztery miesiące później

- Zatem to jest dziedzic Easton?

Andrew Parkes pochylił się i zza biurka popatrzył uważnie na Felixa.

- Świetny chłopak, Orlando. Podobny do ciebie, a także do swojego imiennika.

Orlando uśmiechnął się krzywo. Dla niego liczyło się tylko to, że ma przy sobie syna. Magnat naftowy z Dubaju, do którego wyjechała Arabella, najwyraźniej nie lubił dzieci.

- A ty? Jak się miewasz? - spytał Andrew.

Orlando wzruszył ramionami.

- Bez zmian. Wzrok przestał mi się pogarszać, więc funkcjonuję w miarę normalnie.

Andrew Parkes pokiwał głową.

- Doskonale.

- Zastanawiam się tylko, czy Felix odziedziczył moją chorobę.

Andrew się zamyślił.

- Wątpię - zdecydował w końcu. - Przypadłość jest rzadka i oboje rodzice musieliby być nosicielami recesywnego genu, żeby przekazać ją dziecku. Jeszcze nie możemy przeprowadzić badania genetycznego, ale Felix będzie uważnie obserwowany.

- Czy cokolwiek by się zmieniło, gdybym nie ja był jego ojcem, lecz mój brat? Czy wówczas prawdopodobieństwo choroby byłoby mniejsze?

- Chyba nie... - odparł Andrew ostrożnie. - Rozumiem, że masz powody, aby pytać?

Orlando uśmiechnął się lodowato.

- Moja diagnoza najwyraźniej wstrząsnęła moim bratem, więc Arabella hojnie go pocieszyła - zakpił. - To moja wina, rzecz jasna, podobnie jak śmierć Felixa. Zdaniem Arabelli, był zbyt wstrząśnięty wizją mojej ślepoty, żeby bezpiecznie lecieć.

Andrew oparł łokcie na biurku.

- Tydzień po tobie Felix miał do mnie przyjść na rutynowe badanie wzroku, ale zadzwonił do mojej sekretarki i odwołał wizytę. Nie umówił się ponownie.

- Chcesz powiedzieć, że...

Andrew uniósł dłoń.

- Nic nie chcę powiedzieć. Informuję cię tylko o zmianie planów brata. Wnioski wyciągnij sam. W każdym razie nie powinieneś brać na siebie winy za jego śmierć.

- Dziękuję ci, Andrew.

Gdy Orlando ostrożnie niósł dziecko, przyszło mu do głowy, że zbyt pochopnie ocenił brata. Może było całkiem inaczej, niż wcześniej założył. Może w obliczu takiego wyzwania, jakim jest ślepota, Felix stchórzył i wybrał łatwiejszą drogę, a on podjął walkę.

Popatrzył na budynek, na którym tamtego pamiętnego dnia niemal półtora roku wcześniej wisiał plakat z Rachel i pomyślał, że umysł płata mu figle. Z pewnością podsuwał mu nieistniejące obrazy. Orlando zamrugał oczami, ale wizja nie zniknęła. Widział tylko niewyraźne fragmenty, ale na tyle dobrze, że rozpoznał twarz Rachel i dzisiejszą datę.

Bilety na koncert fenomenalnej pianistki rozeszły się w mgnieniu oka, lecz z powodu pięknej pogody i wyjazdu z miasta kilka osób nie zrealizowało rezerwacji, więc Orlando bez trudu kupił wejściówkę. Znacznie trudniejszym zadaniem okazało się przekonanie bileterki, żeby wpuściła go na salę razem z dzieckiem. Po długich namowach ostatecznie uległa urokowi przystojnego mężczyzny i po zgaszeniu świateł pozwoliła mu zasiąść z samego tyłu sali.

Publiczność powitała Rachel głośnymi brawami, a gdy wszyscy ucichli, zabrzmiały dźwięki perfekcyjnie wykonanego preludium Debussy'ego, którego zwieńczeniem była burzliwa owacja.

Właśnie wtedy Felix drgnął i otworzył oczy. Orlando wstrzymał oddech, a Carlos dał orkiestrze znak do rozpoczęcia sonaty Scarlatti'ego. W tej samej chwili dziecko nieoczekiwanie zapłakało.

Carlos nerwowo zamachał batutą i odwrócił się do publiczności, a orkiestra ucichła po pierwszych taktach.

- Dziecko?! - wykrzyknął Carlos zbulwersowany. - Co to ma znaczyć?

Ku zdumieniu słuchaczy, Rachel Champion wstała i zamiast przyłączyć się do oburzonego dyrygenta, wbiła wzrok w ciemności na sali.

- Felix? - Wypowiedziała to słowo szeptem, ale mikrofon nad fortepianem przekazał je do głośników. - Orlando?

Ponieważ dziecko ani myślało się uspokoić, ponownie zasiadła do fortepianu i z czułością dotknęła klawiszy. Spod jej palców popłynęły dźwięki Nokturna e-moll Chopina i choć dyrygent zszedł z podium, członkowie orkiestry jeden po drugim przyłączyli się do pianistki. Publiczność momentalnie ucichła.

Sala koncertowa Bankside Hall pomieściła tysiąc trzysta osób, a gdy dźwięki nokturnu przebrzmiały, Felix należał do nielicznych słuchaczy, którzy nie płakali. Na moment zapadła cisza, którą zakłóciło głucho trzaśnięcie

drzwiami z tyłu sali. Gdy wszyscy się odwrócili, mężczyzny z dzieckiem już nie było.

Kiedy ludzie ponownie popatrzyli na scenę, brakowało na niej także pianistki.

Rachel pośpiesznie pokonała labirynt korytarzy w Bankside i wybiegła na balkon ponad głównym wejściem. Ponieważ koncert technicznie jeszcze trwał, hol był pusty, jeśli nie liczyć wysokiego, barczystego mężczyzny, który zmierzał ku drzwiom, z dzieckiem w samochodowym foteliku.

- Orlando... Proszę... Zaczekaj...

Znieruchomiał z ręką na drzwiach.

- Nie możesz tak odejść - jęknęła.

- Muszę.

Poczuła bolesny ucisk w sercu.

- Arabella na ciebie czeka? - zapytała bez tchu.

Przez chwilę wyglądał tak, jakby nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

- Arabella? - powtórzył. - Arabella wyjechała. Nigdy nie byliśmy razem.

- Ale Felix... - wykrztusiła. - Mówiła przecież, że jeśli nie będziecie razem, wywiezie Felixa...

Nagle Orlando zrozumiał, dlaczego wtedy zniknęła. Na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech.

- Kolejna perfidna sztuczka Arabelli. - Postawił fotelik na podłodze.

Rachel poczuła nadzieję. Nie chciała jej zdusić.

- Więc dlaczego przyszedłeś? - szepnęła.

- Chciałem cię zobaczyć. - Zaśmiał się ironicznie. - To znaczy usłyszeć.

Warto było, grałaś rewelacyjnie.

- Przecież nie przepadasz za takimi rozrywkami - zaprotestowała i ruszyła w stronę schodów, nie odrywając wzroku od Orlanda. - Sam mnie o tym zapewniałeś. Nie lubisz nawet muzyki.

Zaśmiał się nisko.

- Nie uwierzysz, jak bardzo się zmieniłem.

Zatrzymała się na drugim stopniu schodów, tak aby jej oczy znalazły się na wysokości oczu Orlanda.

- Nie chcę, żebyś się zmieniał - wyszeptała żarliwie. - Kocham cię takim, jaki jesteś.

Orlando uśmiechnął się ze smutkiem i pochylił głowę, jakby przygotowując się na cios.

- Och, Rachel - westchnął przygnębiony. - Ja też cię kocham, za bardzo żeby zrujnować ci życie. Jesteś zbyt inteligentna, zbyt piękna i utalentowana, aby marnować się przy mnie. Byłbym ci kulą u nogi.

Rachel zaniemówiła.

- Kocham cię - powtórzył. - Dlatego nie odbiorę ci wszystkiego, na co pracowałaś. Miałaś rację, twoje dłonie są zbyt cenne, abyś tkwiła w Easton. Nie zrobię ci tego.

- Nie musisz. - W jej głosie zabrzmiała radość. - Sama to sobie zrobię. Dzisiaj przechodzę na emeryturę.

- Nie...

- Tak. - Popatrzyła na niego buntowniczo i z miłością. - Tym razem nie masz wyboru. Wczoraj idę na urlop macierzyński i nic na to nie poradzisz.

Gwałtownie uniósł głowę.

- Co takiego?

Delikatnie położyła jego dłoń na maleńkiej wypukłości brzucha.

- Widzisz? - wyszeptała.

Pocałował ją spontanicznie, z całą mocą namiętności, tłumionej przez ostatnie cztery miesiące.

Objął jej twarz i popatrzyli sobie w oczy.

- Nie chcę odzyskiwać wzroku - wyznał z powagą. - Po co mi on, skoro przy tobie wszystko widzę wyraźniej niż kiedykolwiek. Wielkie nieba, Rachel, najbardziej na świecie pragnę być twoim mężem. Ale czy będziesz potrafiła żyć z moją chorobą?

Rachel uśmiechnęła się do niego.

- Nie będę potrafiła żyć bez niej, bo jest częścią ciebie. A bez ciebie nie mogłabym żyć. Zobaczyłeś we mnie rzeczy, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Dałeś mi odwagę.

Pocałowała go i nagle za jej plecami rozległo się wymowne chrząknięcie.

- Panno Champion? Najmocniej przepraszam...

- Mhm? - zamruczała, nie odrywając ust od jego warg.

- Publiczność liczy na bisy. Chce więcej.

Orlando ciężko westchnął.

- Nie ona jedna. Idź. - Delikatnie pchnął ją ku sali koncertowej.

- Nie muszę...

- Musisz. Czeka na ciebie ponad tysiąc ludzi.

Pocałowała go raz jeszcze.

- Daj mi pięć minut, a potem będę twoja. Na zawsze.

Zadrzał, kiedy jej pachnące włosy połaskotały go w nos. Pomyślał, że pięć minut to strasznie długo.

Rachel przystanąła w obsypanym kwiatami, wonnym ogrodzie w Easton Hall. Patrzyła na pędzącego przodem Felixa i odwróciła się do Orlanda, który zmierzał ku niej z maleńką Rose w ramionach. Rachel nie po raz pierwszy

pomyślała, że imię córki jest wyjątkowo dobrze dobrane, skoro ich ogród tonął w różach.

- Nie żałujesz, że na miesiąc miodowy nie lecimy do jakiegoś egzotycznego zakątka? - spytał Orlando i pocałował ją w nagie ramię.

Rachel miała na sobie prostą, jedwabną suknię ślubną w kolorze bardzo jasnej latte, sięgającą kolan. Kilka godzin wcześniej podczas prywatnej, skromnej ceremonii została wreszcie żoną Orlando i panią Easton Hall.

- Ani trochę. - Uśmiechnęła się i nadstawiła do pocałunku pachnącą kwiatami szyję. - Uwielbiam nasz dom.

- Lady Ashbrooke, czyżbym słusznie zakładał, że posyłasz mi to swoje szczególne, bardzo sugestywne spojrzenie?

Zachichotała i wsunęła dłoń między guziki jego śnieżnobiałej koszuli.

- Jak na to wpadłeś?

- Wyczułem to.

- Czy to przyjemne uczucie?

- Rozkoszne. - Dopił resztkę szampana z kieliszka, który ze sobą przyniósł, i wstał. - Ale wymaga współpracy z twojej strony. Pora do łóżka.

Uniosła brwi.

- Masz na myśli nas czy dzieci?

- Całą rodzinę.

Rachel wzięła na ręce protestującą Rose, a Orlando posadził sobie Felixa na barana. Razem ruszyli do domu ścieżką skapaną w niebieskiej, wieczornej mgle.

